Nr. 26 (1122). Warszawa, dnia 15 (28) Czerwca 1902 r. Rok XXII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Szan. Abonentom półrocznym i kwartalnym przypominamy nadchodzący termin przedpłaty.

POLITYKA.

Nowy gabinet.

Od końca pierwszej dekady bieżącego miesiąca republikańska Francya ma nietylko rząd, ale i program republikański. Po najwytrwalszym i w polityce wewnętrznej od czasów Gambetty najenergiczniejszym i najodważniejszym gabinecie Waldeck - Rousseau'a powołał Loubet do życia ministeryum z ludzi przeważnie nowych i oddał je pod ster zupełnie nowego w sferach ministeryalnych senatora Combes. Noworodek ma również przed sobą zadania wewnętrzne, jak je miała zbiorowość, należąca już do przeszłości; nawet w samej treści tych zadań nie występuje nic nowego. Jeżeli co wnieść ma senator Combes, jako główna siła rozpędowa, do nowych rządów, to chyba tylko większą odwagę. Waldeck mógł być znużonym i pragnąć szczerze wypoczynku po istotnie znojnych i uciążliwych funkcyach prezesa ministrów we Francyi: ale znużenie samo przez się nie wystarczyłoby mu do usunięcia się, gdyby nie pewne niedomagania woli wobec zadania, które własnym czynem swym na siebie zwalił. Był on dość odważnym, aby rozpocząć walkę z klerykalizmem, jak się to we Francyi nazywa; ale mu zbrakło odwagi, aby jej dokończyć: zostawił tę przyjemność innym i usunął się. Miejsce jego zajął były kleryk. Ludzie tego typu są najskorszymi do walk tego rodzaju i rwą się też do nich namiętnie. Tylko niezawsze rwanie się jest siłą.

Z dawnych ministrów pozostało w nowym gabinecie trzech: André — od wojska, Delcassé — od spraw zagranicznych i Mougeot — od poczty niegdyś, od rolnictwa obecnie. Ośmiu ludzi jest zupełnie nowych: Pelletan Kamil, siła nader wybitna, ze wszystkich, wliczając i samego sternika, najwybitniejsza i z rozumu, i z wymowy, i wreszcie z charakteru. Radykalizm ma w nim najpoważniejszego przedstawiciela, już od lat dwudziestu przeszło bojującego w parlamencie ze stronnictwami, rzeczypospolitej wrogiemi, i z ministrami, rzeczpospolitą lekceważącymi. Człowiek ten objął po radykalnym również Lockroy wydział marynarki. Oświatą, tj. szkołami, bibliotekami i muzeami, kierować będzie, Chaumié, nie uczony ani pedagog, ale senator, który ma rozum i adwokat „qui a des manières.“ Sprawiedliwość dostała się pod całkiem nieznanego p. Vallé. Doumergue podjął się prowadzenia spraw kolonialnych, a Maruéjouls— którego nazwisko nareszcie ustalono — robót publicznych; ministrował on już pod Brissonem cztery lata temu. Ministrem handlu został Trouillot. Wydział skarbu i skarbowości, o który właśnie utykała nowa formacya, otrzymał kierownika w nieuniknionym Rouvier'ze, finansiście znakomitym, jak opiewa nalepiona na nim etykieta; jadł on chleb ministeryalny—jeszcze za Panamy. Combes zatrzymał dla siebie sprawy wewnętrzne, potrzebujące właśnie silnej ręki samego prezesa.

D. 10 b. m. Combes odczytał deklaracyę, obejmującą programat rządów. Ostatnie wybory — mówił — dały wyraz woli kraju pragnącego polityki republikańskiej, takiej, jaką prowadził Waldeck. Zadaniem gabinetu będzie „poddanie się“ tej woli. Za poprzedniego gabinetu republikanie zmogli koalicyę, która usiłowała zasiać odszczepieństwo w armię. Odtąd armia nie będzie już robiła polityki; nie będzie jej też robiło i duchowieństwo. „Wprowadzimy w wykonanie z całą siłą nowo uchwalone prawo o stowarzyszeniach i zażądamy odwołania prawa Falloux.“ To prawo Falloux, ułożone w r. 1849 dla rzeczypospolitej przez ministra, uległego człowiekowi wówczas już sprzysiężonemu przeciw rzeczypospolitej, zapewnia wszystkim bez wyjątku, a więc i duchowieństwu, prawo nauczania, wielce niebezpieczne w stosunku do ludu. Dalszym punktem programatu jest oszczędność pod postacią oszczędzania sił podatkowych kraju. Lepszy rozkład ciężarów pozwoli cel ten osiągnąć przy pomocy nowego podatku; będzie nim podatek dochodowy. Oświadczenie to wskazuje, że „znakomity finansista“ pogodził się w ostatniej chwili z niemiłą dla siebie koniecznością programatu demokratycznego, ale zarazem wzbudza obawy, czy ustępstwo sięga do granic istotnej potrzeby i rzetelnej skuteczności haseł demokratycznych. Całość programatu republikańskiego wypełniają: upaństwowienie kolei, skrócenie służby w wojsku do lat dwóch, ulepszenie sądownictwa wojskowego, prawo o zasiłkach stałych dla robotników na starość, i wreszcie oczyszczenie administracyi z żywiołów nie-republikańskich.

O tych wszystkich złotych jabłkach marzy się już we Francyi nie od dzisiaj. Są one niezaprzeczenie piękne i dobre: czy tylko nie za wiele ich naraz w programacie ministeryalnym? Wniosek o służbie

wojskowej nowy rząd już zastał w senacie; postawił go był Roland, senat teraz właśnie nad nim obradował i podczas obrad miał przyjemność usłyszeć z ust samego ministra Andrégo zapewnienie, że żołnierz francuski jest lepszy od niemieckiego, a prawo francuskie wojskowe równie dobre jak niemieckie. Dziwić się tylko potrzeba, że najpierwszy dziś mówca w Europie puścił to zapewnienie płazem. Sprawa dwulecia nie jest jeszcze wygraną na sądzie rozumu praktycznego i to praktycznego we Francyi i dla Francyi. Zniesienie prawa Falloux, tj. wyjęcie duchowieństwa z pod ogólnych uprawnień, niebardzo demokratycznie i republikańsko wyglądające, znajduje swoje usprawiedliwienie w stosunku duchowieństwa do ludu i w rdzennej zasadzie teorematów dawniejszej demokracyi francuskiej, która chciała mieć księży tylko z wyborów i wobec takich tylko poczuwała się do obowiązku równości i ideowego braterstwa. Zabezpieczenie starości od nędzy nie jest nawet w programacie ministeryalnym rzeczą nową: poprzedni już gabinet krzątał się koło tej ważnej sprawy. Najmniej nowym jest podatek dochodowy. Za ministeryum Leona Bourgeois Izba miała już nawet sposobność dowieść sobkostwa kapitału przez odrzucenie jedynie sprawiedliwego rozkładu ciężarów społecznych. Kosz swój p. Combes wyładował wielu pięknemi rzeczami. Izba, „przeważnie republikańska,“ będzie miało co wrzucać do kosza.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Koronacya odłożona. Król Edward jest ciężko chory, życie nawet jego w niebezpieczeństwie. Uciechę kraju całego i kolonii zastąpił, w Londynie przynajmniej, smutek, wraz z goryczą, jaką sprawia wszelki doznany zawód. I widowisko stracone, i tyle zarobków połechtało filisterskie serca — bez skutku. Stan jest bardzo poważny. Salisbury i Balfour w obu izbach przygotowali naród nawet na katastrofę.

Spełniła się już ona gdzieindziej, w Saksonii. D. 19 b. m. zmarł w Sybillenorcie, rezydencyi letniej królów saskich, Albert I, już 74-letni, bezdzietny. Pochowano go d. 23 b. w Dreznie. Na pogrzebie byli obaj cesarze: Wilhelm z żoną i Franciszek Józef. Zaraz po obrzędzie rozjechali się, każdy w swą stronę, z jednego i tego samego dworca, bez umyślnej ceremonii pożegnalnej. Zauważono to w prasie wiedeńskiej. Królem został brat zmarłego, Jerzy, dotychczas inspektor armii niemieckiej, człowiek już 70-letni. Syn jego, Fryderyk August, prawnuk króla tegoż imienia, panującego w Księstwie Warszawskiem, obecnie w 37 roku życia, ma być dość samodzielnym, a ożeniony z arcyksiężniczką austryacką, żywi też i sympatye dla Austryi.

Ks. Ferdynand bulgarski odbył teraz podróż do Rosyi. *N. fr. Presse* w umyślnym artykule uważa go już za „króla Bulgaryi.“ Minister Danew, który z nim jeździł, wypiera się w żywe oczy. Rzecz nie jest nieprawdopodobną.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

RACHUNKI SPOŁECZNE.

Biblioteka Zielińskich w Płocku. — „Pamiętnik kielecki.“ — Zabezpieczenie starości pracowników rolnych. — Stacye ratunkowe po wsiach. — „Uwagi przedwakacyjne.“ — Anachronizm.

Kiedy w Warszawie niektórzy Argusowie, stojący na straży bogatych bibliotek prywatnych, najeżają wstęp do nich dla zwykłego śmiertelnika, chcącego pracować naukowo, nieprzezwyciężonemi niemal trudnościami, jedno z naszych miast prowincyonalnych ma otrzymać na własność cenny księgozbiór, złożony z dwudziestu kilku tysięcy tomów, wśród których jest niemało okazów rzadkich i wartościowych, a sam tylko dział historyi i literatury polskiej zawiera blizko *siedem tysięcy* osobnych prac i utworów, nie wliczając w to obfitego zbioru dzieł z zakresu prawa polskiego. Mówię tu, naturalnie, o bibliotece Zielińskich w Skępem, zebranej głównie przez rozmiłowanego w książkach autora „Kirgiza,“ którego syn, p. Józef Zieliński z Łażyna, pragnie obecnie tę cenną puściznę po ojcu udostępnić szerszemu ogółowi i w tym celu ma ją na pewnych warunkach ofiarować na własność miastu Płockowi. Jest to zaiste dar wspaniały, to też nie wątpimy, że zarówno płockie Towarzystwo rolnicze, pod którego opieką pozostawać ma ten księgozbiór, jak i zarząd tak hojnie obdarowanego miasta, uczynią wszystko dla jak najpomyślniejszego załatwienia tej doniosłej sprawy, która w malowniczym Płocku może z czasem wytworzyć jedno z poważnych ognisk naszego życia umysłowego.

Odzywały się głosy, przemawiające za przeniesieniem tej biblioteki do Warszawy. Co do nas jednak, to godzimy się w zupełności z *Echami płock. i łomż.*, które, przemawiając gorąco za umieszczeniem cennego księgozbioru w Płocku, twierdzą słusznie, że kultura o tyle ma znaczenie, o ile obejmuje jak najszersze okręgi i warstwy. Za granicą, w takiej np. Szwajcaryi lub Anglii, każde większe miasto dąży przedewszystkiem do posiadania zasobnej biblioteki, rozumiejąc dobrze, że głód duchowy może być nieraz równie dokuczliwy, jak i fizyczny. Księgozbiory takie dostępne tam są najszerszemu ogółowi za drobną opłatą lub nawet całkiem bezpłatnie. Tylko nasze grody, nie wyłączając poniekąd samej Warszawy, zadawalają się dotąd skromnemi czytelniami i wypożyczalniami nowości beletrystycznych i nic prawie, oprócz nich, nie czytają. Miejmy nadzieję, że oddanie biblioteki Zielińskich do użytku szerokiej publiczności zapoczątkuje i u nas pożądaną zmianę pod tym względem.

Że nawet po za obrębem wielkich ognisk zbiorowości może rozwijać się i owocować życie umysłowe, świadczy wydany świeżo staraniem p. Br. Bieńkowskiego „Pamiętnik kielecki,“ obszerny (250 stronic dużego formatu), pięknie odbity i ozdobiony licznemi ilustracyami tom, zawierający wartościowy zbiór prac ku uczczeniu Adama Mickiewicza z powodu setnej rocznicy jego urodzin. Przed paru laty, gdy przygotowywano się w kraju do godnego obchodu jubileuszu wielkiego poety, wśród literatów warszawskich powstała myśl, aby i miasta prowincyonalne Królestwa przyczyniły się do tego przez wydawnictwo umyślnie w tym celu układanych książek zbiorowych. Miało to na celu zarówno zebranie ciekawych nieraz przyczynków do życiorysu lub charakterystyki wieszcza, jak zwłaszcza danie pewnego bodźca życiu umysłowemu prowincyi i wyrwanie jej, na czas pewien bodaj, z przysłowiowej niemal ospałości. Tu i owdzie próbowano zrobić coś w tym kierunku, lecz skończyło się na próbach nieudanych lub co najwyżej na obfitszych trochę „gwiazdkowych“ numerach pism prowincyonalnych. Jedne Kielce pojęły poważniej podjęty dobrowolnie obowiązek społeczny i wystąpiły oto z wydawnictwem, z którego, mimo pewne opóźnienie, zrozumiałe zupełnie wobec trudnych warunków pracy umysłowej na prowincyi, mogą poprostu być dumne.

Prace, zamieszczone w „Pamiętniku,“ mają przeważnie wartość trwalszą i dotyczą głównie bądź Kielc i ich okolicy, bądź

Z pamiętników Gorona.*)

I. Kobiety-pijawki.

Dobroć jest bez wątpienia jedną z najbardziej pociągających zalet kobiety; dlatego też szczególnie są wstrętne te córy Ewy, którym natura odmówiła tego przymiotu, stworzyła je złe i kłótliwe. Według zdania starożytnych, kto ma złą żonę, ten jest pozbawiony opieki bogów. I rzeczywiście, trudno wyobrazić sobie nieszczęśliwszego człowieka, niż ten, który na loteryi miłosnej wyciągnął numer niefortunny.

Czego ci biedni ludzie nie przechodzą dzięki swoim żonom, a nawet kochankom, należącym do klasy kobiet, znanych pod trafną i dowcipną nazwą „crampons!“ Współczesne powieści i dramaty są przepełnione postaciami tych potwornych typów, a na nieszczęście dla rodu ludzkiego — owe typy, dzięki rozmaitym odcieniom, pozostaną wiecznie świeże, dostarczając obfitych wątków Zoli i Laredanowi. Niektóre z nich wzbudzają tylko śmiech, lecz większość doprowadza ludzi do gorzkich łez, a często i do grobu.

Zwykle przebieg sprawy jest następujący. Udręczywszy długiemi męczarniami ofiarę, z którą je skuł okrutny los, jędza niespodzianie zostaje uderzona nieoczekiwanym buntem zrozpaczonego niewolnika. Biedak, dotąd cierpiący w milczeniu, nagle uczuwa potrzebę zerwania swoich więzów. O rozsądnym, cichym rozwodzie nie może być nawet mowy: fałszywe pojęcie o tej domowej tyranii mają ci, którzy przypuszczają, że podobna kobieta zgodzi się rozstać, skłoniona głosem rozumu i rozwagi! Przeciwnie, gdy przeczuwa, że jej ofiara ma zamiar wyślizgnąć się jej z rąk, wtedy właśnie ukazuje się w całej potędze charakter podobnego potwora.

Lecz od ogólnych wniosków przejdźmy do faktów. Tragiczny wypadek, który mam zamiar opisać, lepiej, niż wszelkie teorye, potwierdza prawdę wyżej powiedzianych słów o charakterze tych kobiet i jest, że tak powiem, syntezą tego typu, o którym mowa.

Przed paru laty młoda dziewczyna — sklepowa w pewnym magazynie — poznała się na jednym z publicznych balów z młodym człowiekiem, który zajmował wybitną posadę w znanym kantorze handlowym. Tutaj można zauważyć, że owe megery nie zawsze są potworne i głupie: tak np. w obecnym wypadku Leontyna była zgrabna, sympatyczna i posiadała ten szczególny sposób prowadzenia rozmowy, którym wyróżniają się paryżanki i który tak się podoba mężczyznom. To też podobała się Janowi D., który wkrótce uzyskał wzajemność, i w następnym tygodniu zakochani zamieszkali razem. Miodowy ich

*) Były naczelnik policyi w Paryżu, Goron, wydał w kilku tomach swoje pamiętniki, które zawierają bardzo ciekawy materyał społeczny i psychologiczny nietylko miejscowego znaczenia. Z tej galeryi życia wyjmiemy kilka obrazów i portretów, które tem bardziej zajmą czytelnika, że odtwarzają postacie i stosunki rzeczywiste i są związane z kwestyami natury ogólniejszej. *Red.*

osoby Mickiewicza i jego dzieł. W dziale pierwszym zasługuje na wyróżnienie pracowity opis matematyczny Kielc p. T. J. Wagnera, opis architektonicznych zabytków miasta, dokonany przez Romana Plenkiewicza, a zaopatrzony w ładne rysunki i zdjęcia katedry, b. zamku biskupiego i innych gmachów, ciekawa rozprawka inżeniera S. Kontkiewicza o płodach kopalnych gubernii Kieleckiej i parę innych. Bogatszy i bardziej urozmaicony jest dział drugi, dający nam, obok rzeczy drobniejszych, kilka prac źródłowych, barwnie i zajmująco napisanych, a przedewszystkiem obszerną rozprawę p. Konrada Gąsiorowskiego o myśli przewodniej i architektonice „Dziadów,“ ładny szkic p. Bronisława Bieńkowskiego o żywiole lirycznym w „Panu Tadeuszu,“ rozprawę p. Stanisława Ciszewskiego o przekładach Mickiewicza na język chorwacko-serbski, pracę p. Jana Łosia o Mickiewiczu, jako lingwiście, i studyum p. Jarosława Korwina o pobycie poety naszego w Lozannie. Ciekawy jest również urywek p. Zygmunta Wasilewskiego o wycieczce Seweryna Goszczyńskiego do Waterloo, stanowiący przyczynek do dziejów Towiańszczyzny, związanej tak ściśle z promiennemi postaciami piśmiennictwa naszego. Całość wydawnictwa wywiera bardzo sympatyczne wrażenie i przynosi zaszczyt zarówno ogółowi współpracowników, jak zwłaszcza energii i pracowitości p. Bieńkowskiego, który zgromadził tak obfity i ciekawy materyał i piękne dzieło doprowadził szczęśliwie do końca.

Ale i w innych dziedzinach, jak zauważyliśmy już w „Rachunkach“ poprzednich, prowincya, w części dzięki działalności Towarzystw rolniczych, zaczyna się budzić do życia. Mamy znów do zanotowania ciekawy dosyć odczyt p. Janusza Szwejcera o zabezpieczeniu starości robotników wiejskich, wypowiedziany przed miesiącem na ogólnem zebraniu członków Towarzystwa rolniczego gub. Piotrkowskiej, a ogłoszony świeżo w miejscowym *Tygodniu*, redagowanym starannie przez p. Mirosława Dobrzańskiego. Co prawda, aspiracye prelegenta są na razie arcy-skromne. Wskazawszy w pierwszej części odczytu, jako pewnego rodzaju ideał, urządzenia niemieckie, gdzie na mocy doniosłej ustawy z d. 1 stycznia 1891 r., każdy robotnik lub robotnica, czeladnik, terminator, oficyalista, subjekt, służący, stały lub czasowy najmita, o ile ma skończonych lat szesnaście i nie pobiera rocznie więcej nad 2,000 marek, podlega obowiązkowej i przymusowej asekuracyi państwowej, zapewniającej mu, za nieznaczną opłatą tygodniową, w razie niezdolności do pracy lub dojścia do lat 70, stałą rentę w wysokości co najmniej 106 marek rocznie, p. Sz. zdaje się nie wierzyć w możliwość urzeczywistnienia czegoś podobnego u nas i chciałby rzecz całą uzależnić niejako od dobrej woli jednostki, a z obowiązku i prawa uczynić coś w rodzaju nagrody i zachęty dla grzecznych dzieci. „Niech każdy z nas — mówił on — zapisze do kasy (rolników i ogrodników) tylko tych parobków, którzy, służąc mu wiernie i poczciwie od lat pięciu, zasłużyli na to, i niech płaci od nich 3 rb. 60 kop. rocznie; tych zaś, co służą już lat trzy na miejscu, niech zapisze do kasy, płacąc za nich jedynie wkład na kapitał obrotowy, tj. 1 rb. 20 kop. rocznie. Wszystkim zaś pozostałym, którzy jeszcze lat trzech na miejscu nie służą, wskazać to, jako przykład i nagrodę za dobrą służbę, do której po trzech latach i oni dojść mogą.“ Projekt nienowy i niezbyt praktyczny, zwłaszcza że, wobec potężnego prądu parcelacyjnego, rzadko który z właścicieli zapewnić może swą służbę, czy sam przetrwa 5 lat na folwarku.

Lecz nawet projekty takich półśrodków mają pewną wartość, jako znamienny objaw ducha czasu i coraz silniejszego uzewnętrznienia się pewnych potrzeb, które znalazły również wyraz w niedawnym zapisie p. F. Sobańskiego na kasę emerytalną dla rolników, a świeżo w owem wystąpieniu prezesa wyborów w Suwałkach, dr. Ignacego Korcyny, który „wzamian wydatków tradycyjnych, związanych z obowiązkami prezydyalnymi,“ ofiarował Tow. rolniczemu wartość listu zastawnego na 1,000 rb. z warunkiem, aby fundusz ten służył, jako zapoczątkowanie środków do urządzeń, dążących do poprawy bytu robotników wiejskich. Sprawa owego miliona bezrolnych, o których wspomina p. Szwejcer, według nas, da się jedynie załatwić skutecznie na drodze reform ogólnych, mających na celu zabezpieczenie starości i poprawę bytu klas pracujących, bo w gruncie rzeczy nie widzimy powodu, dla którego należałoby robotników wiejskich wyodrębniać od ich towarzyszów, zajętych po fabrykach i warsztatach. Niemniej jednak projektom i faktom, podobnym do wymienionych tutaj, a wyrastającym częściowo na podścielisku zrozumienia interesu własnego, niepodobna odmówić pewnego znaczenia dodatniego, w porównaniu zwłaszcza z obojętnością zupełną, która do niedawna cechowała u nas na tem polu warstwę ziemiańską.

Do rzędu zacnych, lecz nierozstrzygających sprawy półśrodków, zaliczyć musimy i projekt *Gazety Kaliskiej* uczynienia z nauczycieli wiejskich pewnego rodzaju pogotowia ratunkowego w razie nieszczęśliwych wypadków. Potrzeba pomocy takiej, jak również opieka nad choremi dziećmi, mrącemi po wsiach bez pomocy lekarskiej, o którą dopomina się *Kuryer Sosnowiecki*, niepotrzebnie tylko zerkając w stronę funduszu kolonij letnich, daje się uczuć na każdym kroku, niemniej jednak podobnemi sprawami niepodobna obarczać nauczycieli ludowych, którzy i tak z jakąś półsetką dzieciaków wiejskich mają chyba aż nadto zajęcia. Jedynie zaprowadzenie stałych lekarzy i felczerów gminnych mogłoby częściowo przynajmniej usunąć lub zmniejszyć smutne objawy, o których piszą wzmiankowane organy, i o taką właśnie pomoc, w miarę możności, kołatać należy nieustannie, nie rozpraszając energii na zdobywanie chwilowych plasterków i wody ocukrzonej.

Przypominają sobie zapewne czytelnicy owo oświadczenie dziedzica trzech wsi, który pragnął w każdej z nich dać przez wakacye bezpłatne utrzymanie młodzieńcowi, pochodzącemu z dobrej rodziny i niawyznającemu — broń Boże — pojęć nowożytnych. Nie wiemy, czy pan ten zdobył już kandydatów, posiadających wymagane kwalifikacye w dostatecznym stopniu, ale znalazł naśladowców, trochę inaczej zresztą pojmujących obowiązek społeczny względem młodzieży. Jeden z obywateli nadesłał znów list do *Wieku* z oznajmieniem, że otwiera gościnnie podwoje swego dworu dla niezamożnego studenta, wzamian za poświęcenie krótkiej chwili dziennie uczniowi IV kl. który chce poznać język niemiecki. O ile za tem oświadczeniem nie kryje się wyzysk i chęć znalezienia dla syna bezpłatnego guwernera na czas wakacyjny, zamiarowi samemu nie mamy nic do zarzucenia. Nie jałmużna to już, rzucona napół ze wzgardą, lecz wzajemna wymiana usług, nie „dobre urodzenie“ i przedpotopowe pojęcia, lecz niezamożność jest argumentem rozstrzygającym. Fakt ten właśnie nastręcza sposobność p. Wł. K. w *Gazecie Radomskiej* do paru słusznych „uwag przedwakacyjnych,“ z których pozwolimy sobie przytoczyć zakończenie: „Otwierajmy szeroko — pisze autor artykułu—wrota wiejskich dworów i dworków młodzieży szkolnej, mającej moralne kwalifikacye, pracującej w pocie czoła nad książką w dusznem mieście, nie mającej możności oddychać świeżem powietrzem. Gościnność nasza będzie wynagrodzona sowicie, bez wątpienia bowiem młodzież, jeżeli nawet nie będziemy wymagać książkowej nauki dla dzieci, da im i innym otaczającym zdrowe zasady, nauczy szanować drzewa i pożyteczne zwierzęta, po-

---

miesiąc był upajający, lecz ciągnął się niedługo.

Kobiety tego rodzaju mają dni literalnie kocich sposobów: zwykle zaczynają od tego, że starannie chowają swoje pazury, pokazując tylko aksamitne łapki — miękie i delikatne. Z początku Leontyna grała rolę zakochanej, i zachwycony Jan D. uważał się za najszczęśliwszego z ludzi; w dzielnicy Inwalidów, gdzie mieszkali, inaczej ich nie nazywano, jak tylko gołąbkami.

Lecz razu pewnego, bez jakiejkolwiek widocznej przyczyny, milutka Leontyna niespodziewanie wysunęła pazurki. Tego wieczoru Jan wrócił od zajęcia i akurat kupił sobie po drodze kamasze.

— Powiedz z łaski swojej, na co ci są potrzebne nowe buty? — zapytała kwaśnym tonem Leontyna.

— Ot! dziwne pytanie....

— Dziwne, a może i niedziwne, lecz ja widocznie mam swoje powody, jeśli się pytam.... Poco kupiłeś te buty?

— Do licha! Dlatego, że mi są potrzebne.

— Potrzebne!.. Żeby iść na schadzkę z kobietą, prawda?

— Posłuchaj-no mnie, moja kochana, — łagodnie odrzekł Jan, który zrazu nie mógł zrozumieć szorstkiego tonu; co ci się stało dzisiaj?

Pogłaskał ją po głowie, ruszył ramionami i z uśmiechem dodał:

— Kobieta... schadzka.... Co za niedorzeczność!

Lecz ten jego spokój jeszcze więcej dojął Leontynę, więc z gniewem w głosie zaczęła gadać, porwana własną wymową.

— Ty i tak masz mnóstwo butów! To wprost wyrzucanie pieniędzy za okno! Ale zapewne chcemy popisać się zgrabną nóżką przed damami, a szczególnie przed tłustą szynkarką, z którą ciągle dajemy sobie znaki w przejściu?

— Z tłustą szynkarką! Ja! Aleś ty, zdaje się, zwaryowała!

— Niema co udawać zdziwionego! Ja cię doskonale przejrzałam luby przyjacielu! Tyś najsprytniejszy komedyant, jakiego kiedykolwiek świat stworzył! Tak!.. (pauza) Mój Boże! I pomyśleć tylko, jaka ja byłam głupia, wiążąc się z tym niemożliwym człowiekiem akurat wtedy, kiedy starali się o mnie porządni ludzie, którzy ofiarowywali konie, powozy, wszystkie wygody najrozkoszniejszego życia!

Wzburzony tym bezsensownym potokiem słów, Jan chłodno odpowiedział:

— Moja droga, i ja bardzo żałuję tego... lecz w takim razie trzeba ci było wybrać jednego z takich panów z jego końmi i powozami, a mnie pozostawić w spokoju... Chyba *nie ja* cały czas za tobą latałem, prawda?

— Niegodziwiec! Podły!

I nieoczekiwanie wykwintna i milutka Leontyna z całym rozmachem uderzyła swojego lubego w twarz. Ten zaczął się bronić i chciał ją obezwładnić, a w rezultacie zostały potłuczone naczynia stołowe. Ostatecznie przyszło do zgody. Była to zaledwie pierwsza burza. Lecz od tej chwili życie nieszczęśliwego Jana zrobiło się prawdziwem piekłem. Nie mógł powrócić do domu, ażeby pod tym lub innym pozorem jego współmieszkanka nie zrobiła mu strasznej sceny zazdrości. I zazdrość ta dzika, ciągła i głupia była doprowadzona do ostatecznych granic. Razu pewne-

zbywać się cech lekkomyślnego dziecinnego okrucieństwa, okazywanego często światu roślinnemu i zwierzęcemu. Młodzież *z niezamożnych, lecz uczciwych rodzin miejskich*, pokrzepiając nadwątlone siły na wsi, będzie dla tej wsi prawdziwym pożytkiem i pożądaniem." „Niech się tak stanie!" — możnaby dodać na zakończenie. —

Z różnych stron kraju staramy się zebrać dla czytelników odgłosy szlachetnych pomysłów i czynów obywatelskich. Pomagają nam w tem pisma prowincyonalne. Nie wszystkie one rozumieją dobrze, iż zadanie ich polega głównie na chwytaniu i odbijaniu życia społecznego prowincyi i szerzenia światła w swej okolicy, lecz w miarę możności do celu tego zdążają. Jedna tylko *Gazeta Lubelska* nic nam po tym względem nie powiedziała i nic nigdy powiedzieć nie może, zapełniając codzień swe łamy, poza działem ogłoszeń, trzema tylko rodzajami artykułów: mizerną kroniką miejscową, obfitymi przedrukami z pism warszawskich i polityką, polityką, polityką... Tak prowadzony dziennik prowincyonalny jest dziś poprostu anachronizmem i zajmuje bezużytecznie ważną placówkę społeczną, na której kto inny mógłby zapewne pracować z korzyścią dla miasta, należącego przecież do największych w kraju i będącego stolicą jednej z najobszerniejszych gubernij.

Święcic.

DWIE WYSTAWY.

Prawdziwie wzruszeni byliśmy skwapliwością, z jaką „cała Warszawa" zapełniała przez kilka dni z rzędu ogródek, gdzie urządzono wystawę psów, i to nie byle jakich pospolitaków, ale potentatów, zaopatrzonych w rodowe drzewa genealogiczne, może zresztą w roztargnieniu sprofanowane czasem przez ich odrośle. *Kuryery* zamieszczały dzień w dzień sążniste artykuły, donosząc o kilkotysięcznym tłumie, odwiedzającym naszych Marsów, Hektorów, nasze Normy, Azy, Fifi, Kiki i inne. Przyznając — wspomnę mimochodem — że „Flirt" jest bardzo odpowiednią nazwą dla nadobnych przedstawicielek psiego rodu, za mniej właściwe uważałbym jednak imiona „Stelli," „Berty" itp., które czasem noszą i nasze matki lub żony, a znalazłszy na wystawie psa, nazwanego „Bur," pocieszałem się myślą, że eleganci i snobi transwalscy nie mają teraz sposobności urządzania psich wystaw, więc nie grozi nam niebezpieczeństwo przeczytania nazwy „Polak," noszonej z wdziękiem na psiej obroży. Nie zadziwiło mnie także, że sędziowie rozdali w znacznej części medale — sobie samym. Wszak to psia tylko była wystawa, więc cóż dziwnego, że zasady, obowiązujące zwykle w takich razach, zeszły jak to mówią, „na psy."

Widząc, jak tłumnie Warszawa odwiedza popis psów, tem większy tłok spodziewałem się ujrzeć na stałej wystawie Muzeum rzemiosł i sztuki stosowanej, obok której urządzono doroczny pokaz prac uczniów, zbiegający się z dziesięcioleciem istnienia Muzem. Doznałem, niestety, przykrego zawodu.

Nikt zapewne nie miał kłopotu z wynalezieniem wystawy psów. Co do Muzeum rzemiosł — rzecz inna. Trzeba było chwilkę poświęcić na wyjaśnienie dorożkarzowi, gdzie mnie ma zawieść. Nic dziwnego, wszak tam bywa tylko publiczność piesza. A więc na wszelki przypadek i czytelnikom objaśnię, że Muzeum rzemiosł mieści się w gmachu Muzeum przemysłu i rolnictwa, zajmując tam piętro najwyższe. Ma ono dwa szeregi widnych i obszernych sal, zastawionych stołami do pracy i szafami, pełnemi okazów, modelów, odlewów itp. Mnóstwo tam rzeczy ciekawych i pouczających, zarówno dla rzemieślników, jak i dla szerszego ogółu. To jednak nie przeszkadza, że na wystawie psów w ciągu jednego dnia przesuwało się więcej widzów, niż w Muzeum w ciągu całego roku. I niema się czemu dziwić, bo czyż nie ciekawszym jest widok białego foxteriera z czarną łatą nad okiem i z czarnym końcem ogona, niż modeli i okazów stylu zakopańskiego, które przecież wcale nie szczekają, nie mówiąc już o takich drobiazgach bez wartości, jak okazy dawnego polskiego ślusarstwa, mozajki, intarsye z drzewa, oprawy do książek, modele domów i kościołów, maszyn, wyroby galanteryjne, żelazne i ślusarskie, modele i figury gipsowe, ceramika, modele mostów, kopuł, wież, stare tkaniny, wzory różnych stylów w rękodziełach i architekturze itp., razem około półtora tysiąca przedmiotów, za których obejrzenie cena wejścia wynosi 10 kop.

A o piętro niżej inna instytucya posiada również ciekawe zbiory etnograficzne, pełne modelów naszych chat, ubiorów ludowych, obok których spotykamy osobliwości, przywiezione z drugiego końca świata — z Afryki, z Chin itp., i znów za obejrzenie tego wszystkiego składa się na rzecz instytucyi 10 czy 15 kop. Pomijając już ogół inteligentny, który te zbiory znać jest obowiązany i dbać o ich powiększenie, pozwolę sobie zapytać, czy wiele jest matek, które do sal tych prowadzą od czasu do czasu swe dzieci? Czy wielu jest Warszawiaków, którzy wiedzą o ich istnieniu?

Co tam! Lepiej się dzieci zabawią na wystawie psów, oglądając wygodne klatki, wysłane dywanami, i poduszki atłasowe z psimi monogramami. Szkoda tylko, że drugiej połowy ogrodu nie odstąpiono Towarzystwu opieki nad nędzą wyjątkową, któreby wystawiło modele barłogów, gdzie gnieżdżą się ludzie.

Zapominam jednak na chwilę o miłych pieskach, karmionych specyalnymi biszkoptami, i zaglądam do wielkiej sali odczytowej Muzeum przemysłu i rolnictwa, zupełnie teraz zastawionej szeregami ścianek, na których wiszą setki rysunków, wykonanych przez uczniów i uczennice. Czego tam niema! Prace ręczne, począwszy od linij prostych aż do rysunków z żywego modelu, oddziały ornamentacyjny i dekoracyjny, a nadto kurs malowania na wszelkich materyałach. Obok wiszą szeregi wybornych rysunków technicznych, które rozpadają się na wyższych kursach na graficzne, architektoniczne i odtwarzające maszyny. Wykonywane też bywają i modele w naturze.

Jest także oddział rzeźbiarstwa i wszystkich przystosowań jego do rzemiosł. W kończącym się roku szkolnym korzystało z nauki 403 osób (231 mężczyzn i 172 kobiety). Wszystkie zawody, wszystkie rzemiosła miały tu swych przedstawicieli, bo komuż rysunek nie jest potrzebny, komuż znajomość jego nie ułatwia pracy zawodowej, nie zwiększa jego dobrobytu?

Dziesięciu kierowników czuwało nad temi studyami, nie licząc ogólnej administracyi, i przy takim dużym zakresie pracy, przy takich poważnych rezultatach, społeczeństwo nasze nie dało środków, któreby pozwoliły zamknąć bez deficytu skromny budżet Muzeum, wynoszący zaledwie 9,228 rb. 13 kop.! Zabrakło 2,271 rb. 92 kop., co stanowi aż czwartą część budżetu. Dawniej jakoś wiązało się koniec z końcem, ale dziś, przy wzroście wydatków, już drugi rok zamyka się niedoborem. A jednak — wstyd powiedzieć — suma jednodniowego obrotu totalizatora zapewniłaby Muzeum byt na wieczne czasy. Dobrowolne roczne składki, przeważnie pięcio i dziesięciorublowe, wnosiły zaledwie 102 osoby. Czyżby w Warszawie była tylko tak mała liczba ludzi, przegrywających w winta po 5—10 rb. na jednem posiedzeniu? Na jednego członka wspierającego wypada około czterech korzystających z nauk w Muzeum. Dowód to wielkiej oszczędności w wydatkach ze strony zarządu, ale zarazem i wielkiej liczby potrzebujących nauki, a małej — chcących w tem dopomódz.

---

go zdawało się jej, że znalazła dowód zdrady Jana.

— Aha! — zawołała, cała czerwona od gniewu, — nakoniec złapałam cię, brudny rozpustniku! Patrz, oto kobiecy włos, który znalazłam na twoim palcie!

— Ten włos? Przecież to koński, konia omnibusowego! A zresztą jest biały... chyba nie przypuszczasz, że cię zdradzam dla starej baby!

— A kto cię tam wie!... Z wyrachowania! Ty jesteś taki zepsuty... Przecież są stare baby, które płacą młodym ludziom....

I kłótnia poszła dalej, szorstka, zapalczywa i głupia. Powabna Leontyna wpadła w taki gniew, że talerze znów ucierpiały. Innym razem, było to 1-go maja, w rocznicę ich spotkania, gdy Jan ukazał się bez tradycyjnego bukietu, Leontyna tak się uniosła, że zaczęła grozić wyskoczeniem przez okno. Nieszczęśliwy zupełnie był zamęczony tym związkiem i nie miał literalnie ani jednego spokojnego dnia; lecz był to człowiek niestanowczy i delikatny, a wspólmieszkanka trzymała go się tak silnie, że ta katorga trwała przez długie miesiące. Nareszcie, pewnego wieczoru, wyprowadzony z cierpliwości po brutalnej i głupiej scenie zazdrości, Jan uciekł z domu, przenocował w hotelu, a na drugi dzień posłał swojej „miłej" przyjaciółce list z formalną dymisyą, przyczem i tutaj jeszcze, jak zobaczymy, wykazał serdeczność i niezawziętość charakteru.

„Droga Leontyno! Jestem zmuszony rozstać się z Tobą. Twój charakter jest nie do zniesienia, ja schudłem i schnę, a moi przyjaciele mówią, że jeśli tak pójdzie dalej, to zdrowie moje nie przetrzyma tych przejść, i umrę. Zdecydowałem więc rozejść się z tobą, nie bacząc na zmartwienie, jakie ci robię, i które, wierz mi, podzielam. Lecz cóż poradzić, my, najwidoczniej, nie jesteśmy stworzeni dla siebie. Pomimo twojej złości nie chcę cię rzucać na pastwę losów i pozostawiam wszystkie nasze sprzęty. Oprócz tego posyłam ci razem z tym listem dwieście franków — wszystko, co mam w tej chwili. Na przyszły miesiąc postaram się dostarczyć taką sumę, ażebyś mogła sobie wybrać, według gustu, zastępcę. Życzę ci z całego serca, ażebyś była z nim szczęśliwa. Żegnaj."

Jan nie był bogatym, ponieważ, oprócz pensyi, nie nic dostawał, dlatego jego czyn śmiało można nazwać dżentelmeńskim, zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę, że większość kobiet bywa porzucana z dużo mniejszemi ceremoniami, szczególnie pod względem pieniężnym.

Ale Leontyna była klasycznym typem pijawki, w całem strasznem znaczeniu tego słowa, typem, który, dzięki niezgłębionemu egoizmowi, nie dopuszcza nawet myśli o rozstaniu się ze swym łupem.

Tego samego dnia poszła do kantoru, gdzie pracował Jan i, doczekawszy się na ulicy jego wyjścia, rzuciła się z za węgła i dwa razy uderzyła go w twarz. Ten sposób był już dla niej zwyczajnym.

Godnem jest uwagi, że podobnej kobiecie, która straciła ukochanego człowieka, dzięki niepowściągliwości swojego charakteru, nigdy nie przyjdzie do głowy, że tylko łagodnością można go odzyskać. Lecz takie typy zwykle tego nie pojmują i rzucają się na ofiarę, jak rozszalały ze strachu byk, którego niepodobna uspokoić.

(D. n.).

Oprócz utrzymywania zbiorów muzealnych, okazów i modeli, biblioteki fachowej, sal rysunkowych, w których się kształci corocznie kilka setek młodzieży rzemieślniczej, Muzeum urządza wystawy specyalne, odczyty, wydaje wzory sztuki stosowanej i rzemiosł i ogłasza konkursy, mające naszym rzemiosłom dać modele przedmiotów praktycznych i prostych, a więc mogących liczyć na najszersze zastosowanie, a jednocześnie posiadających formy piękne i swojskie. Tą tylko drogą możemy pozbyć się z czasem tego mnóstwa drobiazgów brzydkich i szablonowych, które jeśli nie napływają z zagranicy, to przynajmniej są ślepem naśladownictwem jej wzorów.

Czyż mam dłużej dowodzić wielkiego znaczenia Muzeum rzemiosł i sztuki stosowanej dla całego naszego społeczeństwa? Niech każdy przyjrzy się tym świetnym wynikom, które udowadnia otwarta obecnie wystawa prac uczniów i uczennic, a z pewnością wielu z nas zdecyduje się dawać corocznie choćby parorublową składkę na cel tak pożyteczny *).

Sierp.

*) Zaledwie kilka dni trwająca wystawa prac uczniów uniemożliwiła nam pomieszczenie tego artykułu przed jej zamknięciem. W każdym razie zbiory Muzeum rzemiosł i sztuki stosowanej są zawsze dostępne dla publiczności. (*Przyp. Red.*).

Z nad Warty i Odry.

Ostatnie rozprawy w sejmie pruskim z powodu nowych funduszów antypolskich dowiodły, że szowiniści niemieccy wraz z rządem pruskim poczynają rozumieć, gdzie tkwi siła żywiołu polskiego w Prusiech.

Kiedy Bismarck po wojnie prusko-francuskiej rozpoczynał kampanię przeciwko Polakom w Poznańskiem i Psusiech zachodnich, zwracał on ostrze swej polityki przeciwko szlachcie polskiej i duchowieństwu polskiemu, uważając te żywioły za najniebezpieczniejsze dla pruskiej idei państwowej. Lud polski uważał on za gorąco przywiązany do rządu, za najlepszy punkt oparcia dla polityki germanizacyjnej. Od tego czasu minęło lat trzydzieści. Szlachta polska, złamana ekonomicznie, zdziesiątkowana, gdzieniegdzie (np. w niektórych powiatach Prus zachodnich) wyparta prawie całkowicie, przestała być czynnikiem rozstrzygającym na polu politycznem. Duchowieństwo polskie w większości wypadków całkowicie już zapomniało o epoce kulturkampfu bismarkowskiego. Stało się ono nader lojalnem, germanizacyi się prawie zupełnie nie opiera, a księży - opozycyonistów w Poznańskiem i Prusiech zachodnich można na palcach policzyć; na Górnym Śląsku właśnie księża są najniebezpieczniejszymi germanizatorami.

A jednak, według twierdzenia pruskich czynników miarodajnych, „niebezpieczeństwo polskie na kresach wschodnich“ nietylko nie zmniejszyło się, ale nawet wzrosło. Musieli więc i szowiniści pruscy poszukać gdzieindziej wrogów — już nie we dworach wiejskich, ani na plebaniach.

Kiedy p. Kościelski próbował przemówić w Izbie panów sejmu pruskiego w imieniu całej ludności Prus, kanclerz Bülow oświadczył mu lekceważąco, że opinia szlachty polskiej mało go obchodzi, ponieważ ta dziś nie posiada żadnego wpływu na lud. Jeszcze wyraźniej wypowiedział się w tej sprawie nadburmistrz poznański, Witting, dziękując rządowi pruskiemu za nową ustawę antypolską. „Kto stoi za panami?— pytał on, zwracając się do szlacheckich posłów polskich. — Nikt nie stoi za panami. Jesteście oficerami bez żołnierzy. Już od dawna ruch polski przestał być arystokratycznym. Te czasy minęły bezpowrotnie.. Choćbyście też panowie usunęli dzisiaj całe duchowieństwo, nie zmieniłoby to w niczem ruchu polskiego. Polacy od dawna przestali być partyą kościelną... Ruch polski posiada obecnie charakter radykalno-demokratyczny o cechach wybijającej się burżuazyi.“

W tych słowach p. Wittinga (który pochodzi z żydowskiej rodziny poznańskiej Witkowskich) jest dużo słuszności. Obecny ruch polski w Prusiech nabiera coraz bardziej charakteru ludowego i staje się podobnym do ruchu czeskiego z przed lat 60, kiedy to Praga była miastem w daleko większym stopniu niemieckiem, niż Poznań dzisiaj i nawet przed 10—15 laty. Niesłusznem jest chyba tylko to, że posiada już teraz cechy wybijającej się *burżuazyi*. Jeśli mamy mówić o wzroście żywiołu polskiego w zniemczonych miastach Poznańskiego i Prus zachodnich, to przyczynia się do tego ludność robotnicza, rzemieślnicza i inteligencya. Zanim z wybijającego się drobnomieszczaństwa polskiego pocznie wytwarzać się prawdziwa burżuazya polska, upłynie jeszcze niemało czasu.

W Poznańskiem daje się zauważyć ciekawo zjawisko, polegające na tem, że ta część szlachty, która z tych lub innych powodów musiała wyzbyć się ziemi, przenosi się do miast, kupując tam kamienice, które najczęściej należały poprzednio do Niemców, gdy znów niemieckie dobra ziemskie kupują Polacy, którzy dorobili się w mieście. Kilka takich tranzakcyj odbyło się w ciągu ostatnich paru tygodni. Tak np. Niemiec, adwokat Hamburger, sprzedał swą kamienicę w Poznaniu, przy placu Wilhelmowskim, p. Siemieńskiej za 360,000 marek. Natomiast Polak, p. Hillar, z zawodu kupiec, nabył w powiecie Wąbrzeskim majątek rycerski, dobrze zagospodarowany, o obszarze 1,300 mórg, z wielkim młynem wodnym — i to od Niemca. P. A. Filipowski nabył w powiecie Gnieźnieńskim majątek rycerski Karczewo, który od lat 50 pozostawał w ręku Niemców. Majątek ten obejmuje 1,600 morgów obszaru.

Wobec takiej skwapliwości Niemców do wyzbywania się ziemi, nie na dużo się przydadzą wszelkie środki zaradcze, wynajdywane przez hakatystów pruskich. Tem bardziej, że i mieszczaństwo niemieckie odznacza się nie większem przywiązaniem do dziedzictwa ojców. Przeglądając kronikę miejscową prowincyonalnych pism poznańskich, wciąż możemy stwierdzać fakty kupowania przez Polaków różnych mniejszych zakładów przemysłowych od Niemców. W ostatnich czasach Polacy wykupują z rąk niemieckich coraz więcej hotelów i oberż w miastach prowincyonalnych, jak Ostrów, Ostrzeszów itd. Należy też zaznaczyć, że zjawisko przeciwne, tj. przechodzenie polskich sklepów, hotelów, aptek itp. w ręce niemieckie, nie wydarza się prawie.

I polska inteligencya zawodowa poczyna już gdzieniegdzie zaszachowywać Niemców. Ponieważ co rok przybywa w Poznańskiem i Prusiech zachodnich kilkunastu polskich lekarzy, adwokatów, aptekarzy, gdy niemieckich zaledwie kilku, przeto wzajemny stosunek w tych zawodach staje się coraz bardziej korzystnym dla żywiołu polskiego. W tych dniach np. odbyło się walne zebranie Kasy chorych nr. 3 w Poznaniu. Do niedawna Kasa ta posiadała na 14 lekarzy — 10 Niemców, a tylko czterech Polaków, jakkolwiek większość członków Kasy jest polska. Na ostatnie walne zgromadzenie stawiła się polska większość — tak ze strony pracodawców, jak i ze strony robotników. Wskutek tego wybrano już nie czterech, ale ośmiu Polaków, a tylko sześciu Niemców. Natomiast do zarządu, z którego według ustawy wystąpiło trzech członków, wybrano na ich miejsce samych Polaków.

Jeszcze niezbyt dawno Polacy wcale nie dbali o kasy chorych, ale w miarę wzrostu liczby polskich sił lekarskich przystąpili do usunięcia stamtąd przewagi niemieckiej, co im się zresztą udaje bez wielkich trudów, jedynie dzięki wzrostowi poczucia solidarności. A o wzrost tego poczucia dbają już sami hakatyści, ustawicznie szczując żywioł niemiecki przeciwko wszystkiemu, co polskie. Wynik wyborów w Kasie chorych nr. 3 wywołał szereg nienawistnych artykułów w hakatystycznej prasie poznańskiej. *Tageblatt* i *Posenerka* nawołują „uciśnionych“ Niemców do obrony. To ostatnie pismo w artykule *Polnische Uebermuth* wzywa Niemców poznańskich, aby się starali wszelkiemi siłami zapobiedz wciskaniu się Polaków do instytucyj miejskich, do rady miejskiej itp.

Do jakiej głupoty, do jakiego niezrozumienia własnych interesów popycha hakatystów nienawiść polskości, świadczy najlepiej akcya, wszczęta przez nich obecnie przeciwko firmom niemieckim, ogłaszającym się w pismach polskich. Rzecz to całkiem naturalna, że kupiec czy rzemieślnik niemiecki, pragnąc zdobyć klientelę polską, daje reklamę do pisma polskiego. Jeśli na tem zyska coś pismo polskie, to w każdym razie większy zysk ma firma niemiecka, gdyż publiczność nasza, znalazłszy ogłoszenie w prenumerowanem przez siebie piśmie, kupuje wyroby niemieckie. Tymczasem hakatyści zwrócili baczną uwagę na swych rodaków, popierających pisma polskie, dając im zarobić na reklamach. Wydali więc poufny okólnik, rozsyłany obecnie do wszystkich firm niemieckich, ogłaszających się w gazetach polskich. Na czele okólnika wyraża się wątpliwość, czy ogłoszenie zostało dane do pisma polskiego z wiedzą „wielce szanownego pana“ kupca. Potem następuje wyjaśnienie, że polska prasa, do której owo pismo należy, nie powstała z jakiejś usprawiedliwionej potrzeby ludności, ale ma na celu wyłącznie agitacyę antyniemiecką. Stwierdziwszy dalej, że każdy Niemiec, drukujący ogłoszenia swe w organach prasy polskiej, popiera wrogie niemieckości plany, hakatystyczny okólnik zaręcza, że czytelnicy gazet polskich należą do najniższych warstw ludności, która nie jest w stanie nic kupować, wobec czego najzupełniej wystarcza ogłaszanie się w pismach niemieckich. Okólnik kończy się gorącą prośbą, aby dana firma zaprzestała ogłaszać się w pismach polskich.

Sami kupcy niemieccy skarżą się na terroryzm hakatystów, którzy zagrażają bojkotem każdemu, kto czy to utrzymuje obsługę polską, czy też drukuje cenniki polskie, będąc Niemcem.

Zaledwie zdążono załatwić się z uchwaleniem nowego funduszu antypolskiego, a już znowu szerzą się pogłoski o prawach przeciwko żywiołowi polskiemu. Tak *Münch. Allg. Ztng* otrzymuje z Berlina wiadomość, że rząd ma niebawem wydać dwa nowe przepisy antypolskie. Jeden z nich zmierza do tego, ażeby na wszystkich zebraniach publicznych, które mają jakikolwiek wpływ na sprawy publiczne, był dozwolony tylko język niemiecki. Drugi ma ustanowić, że gazety polityczne, wydawane w językach obcych, mają być traktowane jako zagraniczne. Przepisy te nie mogą być wydane bez zmiany konstytucyi Rzeszy, a więc parlament musiałby uprzednio uchwalić prawa wyjątkowe przeciw Polakom. Na to jednak rządowi trudno liczyć, gdyż niepodobieństwem byłoby znalezienie w parlamencie niezbędnej większości.

Prywatne projekty wytępienia polskości sypią się, jak z rogu obfitości, zwłaszcza teraz, po mowie malborskiej. Jakiś dr. Lohmeyer wpadł na pomysł zupełnego skasowania „prowincyi poznańskiej.“ Dałoby

się to dokonać w następujący sposób. Obwód regencyi poznańskiej przyłączonoby do lignickiego i utworzonoby nową dzielnicę pod nazwą Dolnego Śląska. Obwód regencyi bydgoskiej należałoby powiększyć za pomocą przyłączenia doń powiatów Arnswalde, Friedeberg i zachodnio-pruskich: Wałeckiego, Człuchowskiego, Złotowskiego, Chojnickiego i Tucholskiego. W ten sposób utworzyłoby się dzielnicę nadnotecką. Naczelne prezydya i administracye prowincyonalne miałyby siedziby w Głogowie i Pile. Coby na tym podziale miał stracić żywioł polski, a co zyskałby niemiecki chyba sam autor projektów nie potrafiłby wyjaśnić należycie.

Jakiś nauczyciel ludowy na Górnym Śląsku wpadł na pomysł nowego środka germanizacyjnego. Mianowicie chłopcy od lat 14 do 20 mają być zorganizowani w towarzystwa niemieckie, które mają pielęgnować ducha niemieckiego, niemiecki język, śpiew, zabawę i gimnastykę, jako też „dobre obyczaje.“ Co niedziela towarzystwo ma chodzić do kościoła, a potem na wycieczkę, urozmaiconą nauką geografii, hygieny itd. Pierwsze takie towarzystwo zostało założone w Królewskich Radoszowach, w pow. Rybnickim.

Bromberger Tageblatt domaga się mianowania bądź to z ramienia komisyi kolonizacyjnej, bądź z ramienia Towarzystwa hakatystów, we wszystkich powiatach „zagrożonych polonizacyą,“ osobnych mężów zaufania. Konieczność tej instytucyi jest, zdaniem dziennika bydgoskiego, nagląca, gdyż inaczej trudno będzie powstrzymać szerzenie się polskości. Oto np. niedawno przeszły z rąk niemieckich w polskie dwa majątki w pow. Babimojskim—Weilen i Osłonin.

Podczas ostatnich wyborów do parlamentu w tych majątkach nie głosowano na kandydata polskiego, wskutek czego jedynie przeszedł Niemiec bardzo nieznaczną większością. Teraz to się zmieni, ludność będzie tam głosowała z pewnością za kandydatem polskim. Gdyby w powiecie byli specyalni mężowie zaufania hakatystów, napewno zapobiegliby przejściu wzmiankowanych majątków w ręce polskie.

Pośrednik.

Kobieta w sądownictwie i w adwokaturze.

(Dokończenie).

W Niemczech i w Austryi postanowieniami z r. 1878 i 1879 zajmowanie się adwokaturą było kobietom stanowczo wzbronione; zresztą, nie mając wówczas prawa studyowania jurysprudencyi, nie mogły one nabyć niezbędnego w tym zawodzie wykształcenia specyalnego. Dziś jednak, gdy wydziały prawne otworzyły kobietom swe podwoje, przypuszczać należy, że dopuszczenie ich do zawodu adwokackiego jest tylko kwestyą czasu.

W Anglii same kobiety nie czyniły starań o otrzymanie stopnia doktora praw i o dopuszczenie ich do adwokatury; w Irlandyi w r. 1889 i 1890 dwie kobiety otrzymały doktorat prawny, lecz tu, podobnie jak i w Holandyi, sprawa dopuszczenia kobiet do palestry nie została dotąd załatwiona. W Danii na mocy reskryptu królewskiego z d. 12 maja 1882 r. kobiety mają prawo zdawać egzaminy na wydziałach prawnych, lecz w sądzie mogą tylko bronić spraw własnych.

W sejmie szwedzkim w r. 1896 przeszedł większością 46 głosów projekt prawa o dopuszczeniu kobiet do zawodu adwokackiego. W Norwegii i Finlandyi korzystają one z tego prawa od r. 1895. Panna Si-Stens jest adwokatem przy sądzie w Helsingforsie i dopuszczona była nawet do bronienia spraw przed senatem finlandzkim. W Hiszpanii również widzimy już adwokatki (Manuela y Polido) od r. 1895, gdy w Portugalii kobiety dopuszczone są tylko na kursa medyczne, prawa nie studyują wcale.

W Rumunii prośbę panny Popovici o przyjęcie w poczet obrońców — rada adwokacka odrzuciła. Takąż prośbę panny Bilczesko, doktora uniwersytetu paryskiego, uwzględnioną nawet przez tę radę, odrzuciła izba apelacyjna, nie dopuszczając kandydatki do złożenia przysięgi. Jaki rezultat osiągnie skarga kasacyjna, podana na tę decyzyę — nie wiadomo.

W Szwajcaryi pani K., doktór prawa, prosiła w r. 1887 o przyjęcie na listę adwokatów w Zürichu, odmówiono jej jednak, gdyż, według konstytucyi, adwokatami mogą być tylko osoby, posiadające prawa polityczne czynne, których kobiety nie mają. Ale później, w r. 1899, dr. praw, panna Makkearoth z Gdańska, przyjętą została w charakterze obrońcy przez zurichski sąd handlowy, a Emilia Kempin, niedawno zmarła adwokatka, zajmowała nawet katedrę prawa przy uniwersytecie w Zürichu. Wcześniej jeszcze dopuszczono kobiety do adwokatury w Newszatelu. A że corocznie znaczna liczba kobiet kończy w Szwajcaryi studya prawne, więc i udział płci niewieściej w palestrze wzrasta z rokiem każdym.

We Włoszech w 1883 r. signorina Lydya Poet, dr. praw uniwersytetu turyńskiego, większością głosów rady adwokackiej, przyjęta została w poczet obrońców; wskutek jednak protestu prokuratora, sąd apelacyjny zniósł postanowienie rady, a sąd kasacyjny decyzyę tę zatwierdził. Nie przesądza to jednak w zasadzie prawa kobiet do zawodu adwokackiego, i studentki wydziałów prawnych na uniwersytetach w Rzymie i w Neapolu w swoim czasie z pewnością upomną się znów o dostęp do palestry.

W Belgii w r. 1888 panna Marya Popline, posiadająca dyplom z ukończenia nauk prawnych, wniosła do sądu brukselskiego prośbę o przyjęcie jej w poczet adwokatów. Pomimo energicznego poparcia tej prośby przez autora cytowanej wyżej książki „La femme avocat,“ dr. Franka, sąd nie przychylił się do niej, motywując odmowę swą tem, że, oprócz ściśle prawnej (w ustawie o adwokaturze nie użyto słowa „personne“ — osoba, lecz słowo „l'homme,“ mającego oznaczać nie człowieka wogóle, ale mężczyznę), istnieją inne jeszcze przeszkody charakteru moralnego i praktycznego, jako to: osobliwość i słabość natury kobiecej, a zwłaszcza pewne różnice jej ustroju fizyologicznego; wrodzone płci słabszej uczucie skromności i wstydliwości i niepożądane usunięcie kobiet od „naturalnego ich powołania“ gospodyni, żony i matki.

Przegrawszy sprawę w Brukselli, człowiek takiej energii, jak dr. Frank, nie dał bynajmniej za wygrane i z jeszcze większym zapałem, prowadził rozpoczętą kampanię w Paryżu. W mieście tem, w 10 lat później, w r. 1897 panna Joanna Chauvin, posiadająca stopnie naukowe licencyatki i doktora praw, przedstawiła sądowi swój dyplom i oświadczyła życzenie zostania adwokatką. Sąd wysłuchał świetnej przemowy Franka, który dowodził, że ani warunki społeczne, ani duch prawodawstwa nie mogą stać na przeszkodzie do uwzględnienia podobnej prośby. Chociaż prawodawca-mężczyzna pomieścił w konstytucyi, z powziętym z góry zamiarem, słowo „l'homme,“ ograniczenie to dotyczy jednak wyłącznie działalności w sferze prawa publicznego, urzędów o charakterze politycznym, do których nie może być zaliczone zajęcie adwokata, zarabiającego na kawałek chleba pracą prywatną. Nieproszeni obrońcy słabości i zdrowia kobiety powinniby wpierw pomyśleć o tysiącach innych kobiet, o górniczkach np., pracujących w kopalniach i razem z mężczyznami w najniehygieniczniejszych warunkach wydobywających węgiel kamienny, a potem dopiero zwrócić swą opiekę do pracy umysłowej. W tej ostatniej sferze kobieta, pod względem rozumu, talentu, przenikliwości, prędkiego oryentowania się, cierpliwości i niezrównanego zamiłowania do przyjętych na siebie obowiązków, ani trochę nie ustępuje mężczyźnie, a przy całej podniosłości powołania kobiety, jako strażniczki ogniska domowego, osiągnięcie tego celu nie z ich winy — dla ogromnej liczby kobiet jest niemożliwe.

Dowody te widocznie były dość przekonywające, gdyż sąd paryski jednogłośnie postanowił dopuścić pannę Chauvin do ustanowionej przysięgi obrończej i przyjąć ją w poczet adwokatów. Pierwszym jej występem była obrona dróżnika kolejowego, z którego winy nastąpiło jakoby wykolejente pociągu pod Paryżem. Po wysłuchaniu obrony pierwszej adwokatki francuskiej, przysięgli uniewinnili podsądnego. A 18 czerwca 1899 r. Izba deputowanych większością 319 głosów przeciw 174 przyjęła wreszcie wniosek posła Wiwiani o dopuszczeniu do adwokatury kobiet, posiadających dyplomy prawne; 30-go zaś października 1900 r. i senat francuski postanowienie to ostatecznie zatwierdził.

To też liczba słuchaczek prawa w Sorbonie z każdym rokiem wzrasta, rokując tem samem we Francyi powodzenie pracy kobiecej na polu adwokatury. Dziś już użyte w konstytucyi słowo „l'homme“ nie może powstrzymać tej fali. Mimo to zapaleńsze feministki francuskie protestują z całą energią przeciwko temu słowu, użytemu w konstytucyi dla określenia subjektu praw obywatelskich i publicznych, i dla zamanifestowania swego stanowiska uciekły się do ciekawego sposobu. Znajomi zagraniczni tych fanatycznych propagatorek zupełnego równouprawnienia kobiet doznają niemałego zdziwienia, gdy na kopertach ich listów, obok urzędowej marki pocztowej francuskiej, z wizerunkiem Rzeczypospolitej w postaci kobiety, wspartej lewą ręką o stojącą u nóg jej tarczę z napisem: *Droits de l'homme*, znajdują naklejoną drugą taką samą zupełnie markę, ale z napisem na tarczy: *Droits de la femme.* Kto wie, może one i mają słuszność... Bo przecież jeszcze starożytny mędrzec wyrzekł o owej kropli, przebijającej skałę: *Gutta cavat lapidem non vi, sed saepe cavendo...*

W Stanach Zjednoczonych Ameryki, począwszy od r. 1860, kobiety zarzucały sądy prośbami o dopuszczenie ich do praktyki adwokackiej. Powstał nieopisany chaos, gdyż, wskutek braku wyraźnego przepisu prawa, w jednym i tym samym stanie, jedne sądy uwzględniały te prośby, inne, i przytem większość, oddalały! Wreszcie sprawa załatwiona została w drodze prawodawczej, oczywiście—na korzyść kobiet. Obecnie w większej części stanów, jak Kalifornia, Illinois, Jowa, Massachusetts, Minesota, Newada, New-Jersey, New-York, Ohio, Wisconsin, Oregon itd., istnieje osobny przepis prawa, pozwalający kobietom zajmować się adwokaturą. Wreszcie, ustawa federalna z d. 15 lutego r. 1879 dopuściła kobiety do zawodu adwokackiego przy najwyższym sądzie stanów, z warunkiem uprzedniej trzechletniej praktyki obrończej w sądzie wyższym jednego ze stanów. Kobiet-adwokatek liczą obecnie Stany około 300 (w r. 1898 było ich 275). W stanie Wisconsin pierwszą Polką, która, po ukończeniu z odznaczeniem wydziału prawnego i otrzymaniu dyplomu, została adwokatką, jest p. Antonina Peterson. W Chicago w r. 1895 nawet murzynka, Ida Platt, doktór praw, pierwsza z przedstawicielek rasy czarnej, została adwokatką. W Meksyku, w Chili, na wyspach Sand-

wickich (Rzeczp. Hawaja) kobiety studyują również prawo w kolegiach i po zdobyciu dyplomu mogą zajmować się adwokaturą. Nawet w Japonii, w Tokio, jest kobieta-adwokat Tel-Zino.

W Rosyi sprawa adwokatury kobiecej wystąpiła niemal wcześniej, niż gdzieindziej. Do r. 1874 nie było tu właściwie prawa, zabraniającego kobietom prowadzenia spraw cudzych w sądach. Po wprowadzeniu ustawy sądowej r. 1864, adwokatów przysięgłych było z początku nadzwyczaj mało; każdy zatem, kto posiadał plenipotencyę od jednej ze stron (a więc i kobieta), mógł stawać w sądzie we wszystkich instancyach. W r. 1870 w sferach prawodawczych zwrócono uwagę na częste nadużycia, wynikające z takiego porządku rzeczy, i w rezultacie wydane zostało prawo o obrońcach prywatnych z d. 25 maja 1874 roku. I w tym jednak akcie prawodawczym niema wcale wzmianki, aby świadectw na urząd obrońcy prywatnego nie wolno było wydawać kobietom. Że zaś przedtem świadectwa takie były im wydawane, więc, gdy w r. 1875 podobnej prośby jednej z petentek nie uwzględniono, sprawa oparła się o ministeryum, i wreszcie 7 stycznia 1876 r. zapadło Najwyżej zatwierdzone zdanie rady państwa *), na mocy którego wydawanie świadectw kobietom na urząd prywatnego obrońcy zostało stanowczo zabronione. Od tego czasu, w ciągu oto już lat 25, kobiety nie mają prawa zajmowania się w Rosyi adwokaturą, jako osobnym zawodem. Jeżeli jednak są pełnoletnie i wyrokiem sądowych praw cywilnych nie pozbawione, mogą, na mocy ogólnych przepisów prawa **), stawać w sądach zwykłych w sprawach cywilnych swych mężów, rodziców i dzieci, jak również w charakterze obrońców obcych ludzi w sprawach karnych wogóle, oraz w trzech sprawach cywilnych w ciągu roku w sądach gminnych i w sądach pokoju. Obecnie komisya, wyznaczona do rewizyi ustaw sądowych, w ciągu rozpraw nad kwestyą reformy adwokatury, pozostała wierną wyżej wzmiankowanej zasadzie. Z początku miała ona nawet zamiar pomieścić w nowoprojektowanej ustawie wyraźny artykuł, na mocy którego kobietom wzbronionem byłoby otrzymywać urząd obrońcy; zastanowiwszy się jednak, że sprawa ta i tak w zasadzie rozstrzygnięta jest przez ustawy przecząco, zdecydowano paragraf ten z projektu usunąć. Innego zdania była jednak osobna komisya, wydelegowana z łona wydziału cywilnego Towarzystwa prawniczego w Petersburgu w celu zbadania powyższego projektu. Komisya ta (mająca, co prawda, charakter prywatny) oświadczyła się wyraźnie za dopuszczeniem kobiet do zawodu adwokackiego. Czy jednak ten głos jej usłyszany będzie—nie wiadomo.

Lecz dopóki kobiety nie otrzymają prawa uczęszczania na wydział prawny uniwersytetów (o co w ostatnich czasach pisma rosyjskie energicznie się dopominają), sprawa dopuszczenia ich do adwokatury wydaje się właściwie przedwczesną. Trudno budować mosty, drogi żelazne i tunele, nie przestudyowawszy inżenieryi; trudno leczyć, nie zdobywszy dyplomu lekarskiego; a nierównie trudniej tłomaczyć i stosować niejasne często i kazuistyczne przepisy prawa, bez systematycznego i gruntownego przestudyowania jurysprudencyi na wydziale prawnym uniwersytetu. Niech więc kobiety, najpierw za granica, a później w miarę możności i w kraju, zdobywają dyplomy prawnicze, a wtedy nastąpi czas zajęcia się sprawą dopuszczenia ich i do adwokatury.

Atanazy Bardzki.

*) Obecnie 406[19] art. Urz. władz sąd.

**) Ust. post. kar. art. 44, 565. Ust. post. cyw. art. 44, 45, 246. Organ. wł. sąd. art. 386, 389, 406[18].

STANOWISKO SPOŁECZNE PRACY WSPÓŁCZESNEJ.

II.

Przelotnem spojrzeniem ogarnęliśmy świat pracy i zatrzymaliśmy na oka mgnienie wzrok swój na każdej z jego części składowych. Teraz przystąpimy do rozważenia najbardziej palącego jego zagadnienia — kwestyi stosunku roboczego, od której zależy szczęście i dobrobyt milionów ludzi, ich stopa życiowa i uczestnictwo w pracy kulturalnej ludzkości. Lekceważące stanowisko względem tego właśnie zagadnienia jest jednym z siedmiu grzechów głównych szkoły manczesterskiej. Praca ludzka została ogłoszona za pospolity towar, a zatem nie było powodu, aby państwo swem wtrącaniem się łamało dla niej odwieczne i święte prawo podaży i popytu. W swej powierzchowności, będącej w danym razie wynikiem niedbalstwa i bezduszności, szkoła manczesterska zapominała, iż pod szablonem popytu i podaży ukrywają się stosunki bardzo różnorodnej, głębokiej i złożonej natury. To też w wielu krajach, z łaski karygodnej zasady *laissez faire, laissez passer*, nastąpiło takie fizyczne i moralne zwyrodnienie ludności pracującej, iż rządy były zmuszone złagodzić działanie odwiecznego prawa podaży i popytu, wprowadzając przepisy ochronne, wypracowując nadzwyczaj szczegółowe prawo robocze, które uwzględniało odrębności techniczne i społeczne rozmaitych gałęzi, popierając kontrakty zbiorowe, o których niżej będzie mowa, torując drogę płacy minimalnej, wreszcie kładąc podwalinę pod okazały gmach rozmaitych instytucyj społecznych, jak rozgałęzione ubezpieczenie społeczne, wykazy pracy, stowarzyszenia fachowe i spożywcze, sekretaryaty pracy, urządzenia oświaty i sztuki ludowej itd. Istota stosunku roboczego nie uległa wszakże przez to zmianie zasadniczej. Toczy się dalej walka między dwiema grupami gospodarczemi, ale nie na pięści lub oręż, lecz za pomocą takich środków ekonomicznych i społecznych, jak polityka, prasa, opinia publiczna, prawodawstwo itd. Walka ta jest trzymana w szrankach przez rządy, które np. nie mogą dopuścić, aby bezbronne i potulne grupy, jak nieszczęsne dzieci pracujące lub pracownice, padały ofiarą przewagi społecznej i potęgi możnowładców przemysłowych.

W miarę rozwoju przemysłu, prawodawstwu nastręczały się coraz nowe zagadnienia z dziedziny stosunku roboczego, wymagające regulacyi i obejmujące dziś już prawie wszystkie momenty wybitne z życia wyrobnika. W jaki sposób ma młody pracownik wykształcić się w swym zawodzie? Gdzie ma mieszkać? W jakiej mierze państwo może tolerować pracę nieletnich i jak długo ma trwać ich czas roboczy? Jakie przepisy należy wogóle ustanowić w sprawie dnia roboczego, przerw w pracy i zdrowia pracowników? Jak należy się zaopiekować najmitą chorym, starym lub niezdolnym do pracy wskutek nieszczęśliwego wypadku? Jak długo trwa termin kontraktu lub uprzedniego wymówienia posady? Kiedy jedna lub druga strona ma prawo samowolnie, lecz legalnie, zerwać kontrakt? Jakie należy stworzyć urządzenia, ułatwiające poszukiwanie pracy? Jak należy ukształtować porządek i dyscyplinę w zakładach? W jaki sposób kasy i stowarzyszenia mogą oddziałać na ułożenie się stosunków między pracodawcą i pracobiorcą? Oto kilka tylko z nieskończonego szeregu pytań, któremi prawodawstwo musiało zaprzątać się w czasach nowych w przeciwieństwie do dawniejszych. Kiedyś bowiem, w myśl nietykalności prawa podaży i popytu, nie troszczono się wogóle o te wszystkie zagadnienia doniosłe, lecz poprzestawano na doszczętnem burzeniu pozostałości feodalnych, w mniemaniu, że krępują one zbytnio jednostkę, a wskutek tego tamują „wolny kontrakt roboczy." Ten bowiem t. zw. wolny kontrakt był w istocie ideałem manczesterczyków. Żadna strona nie powinna się zbytnio wiązać. Gdy pracodawcy umowa zbytnio zaciąży, zrywa ją najspokojniej. Termin umowy powinien być możliwie krótki, tak, aby można ją było zerwać w każdej chwili, przez analogię z rozgłośnym „kontraktem społecznym" Rousseau'a. Ażeby pracownik był możliwie „wolnym," zabroniono raz na zawsze wszelkich stowarzyszeń zawodowych. W jego interesie również zakazano surowo kontraktów, przykuwających najmitę do ziemi. Dopiero wtedy—spodziewano się—kiedy runie ostatecznie rudera zobowiązań prawnych, nastąpi stan idealny, a raczej musi nastąpić, bo wszyscy ludzie — co nie ulega żadnej wątpliwości — są równi, wszelkie poglądy zaś przeciwne są obskurantyzmem, niegodnym światłego, postępowego człowieka. A ponieważ wszyscy są równi, więc nie może się nikomu dziać krzywda. Wprawdzie czas roboczy przedłużał się coraz bardziej, tak iż różnice między dniem i nocą zupełnie się zacierały, dzieci marły jak muchy, kobiety, przypominające raczej kościotrupy, niż ludzi, pracowały, jak bydło robocze, zarobek wypłacano markami szynkarskiemi, a jednak teoretyk manczesterski i fabrykant zapewniali, iż tylko co patrzeć, a nastąpi złoty wiek dla ludzkości, kiedy nie będzie ani bólów, ani łez, ani cichej, beznadziejnej rozpaczy, ani zwątpień filozoficznych. Dopiero rządy i prawodawstwa położyły kres tej bezmyślnej komedyi, nie czekając „wieku złotego."

Najmniej przejęło się duchem społecznym prawo cywilne i handlowe, co zaznaczył pierwszy Antoni Menger, a potem cała falanga innych uczonych (w Niemczech i Włoszech). Zato wyręczyło je prawo administracyjne, powołując do życia ordynacye przemysłowe, prawodawstwo fabryczne, ustawę żeglarską, prawo górnicze i ordynacyę o czeladzi. Przepisy odnośne można podzielić na trzy grupy. Popierwsze mamy rozporządzenia, dotyczące bezpieczeństwa zdrowotnego, lokali, urządzeń maszynowych, przypływu powietrza, oraz mające na względzie obyczajowość. Dalej — przepisy, normujące czas roboczy dzieci i osób małoletnich, kobiet i mężczyzn dorosłych. Wreszcie mamy ustawy, nakreślające obowiązki względem pracobiorcy w razie nieszczęśliwego wypadku, choroby, bezpowrotnego kalectwa i starości. Z punktów drugorzędnych, przewidywanych przez prawodawstwo, zaznaczymy tu sprawę wypłaty zarobku, porządku roboczego, ksiąg roboczych itd. Z początku przepisy te obowiązywały tylko kopalnie i wielkie zakłady, i dopiero później zostały rozciągnięte stopniowo na wszelkie warsztaty mechaniczne, a od niejakiego czasu prawodawstwo odnośne wkracza do handlu i komunikacyi. Główna wada takiej regulacyi prawnej polega na biurokratyzmie, który jest w stanie wcisnąć życie tylko w ramy szablonu, ale nie potrafi nigdy indywidualizować go, ani uchwycić bardziej subtelnych zjawisk. Nigdy np. nie uda mu się unormować płacy roboczej w jej niezliczonem mnóstwie odmian. Co ważniejsza, prawodawstwo to stworzyło wprawdzie epokę w rozwoju stosunków społecznych, lecz ma mimo to znaczne luki.

Życie usiłowało je po swojemu uzupełnić. Przedewszystkiem zakłady rządowe i społeczne, odczuwając niedostateczność istniejących przepisów, mając możność podporządkowania zysku innym interesom, oraz chcąc dać przedsiebiorstwom prywatnym przykład ducha reformatorskiego, starały się udoskonalić swój porządek robo-

czy. Oprócz tego za przykładem Anglii rządy europejskie zaprowadzają przepisy, obowiązujące wszystkich dostawców urzędowych i nakreślające minimalne płace, maksymalny czas roboczy itd.

Zakłady prywatne z konieczności musiały również z czasem podjąć się na własną rękę regulacyi licznych spraw, wchodzących w zakres porządku roboczego. W bardziej wzorowych zakładach przepisy te opracowuje komisya mieszana, składająca się w połowie z pracowników. Dzięki temu wychodzą zupełnie z mody bezmyślne rozporządzenia i kary drakońskie starych dobrych czasów, kiedy przemysłowiec kierował się zasadą „wolnoć Tomku w swoim domku. „Te ustawy robocze nabrzmiewają z każdym rokiem i dla ułatwienia obustronnej zgody obejmują całą litanię wypadków i okoliczności, gdzie tylko możliwe jest nieporozumienie. Już z tego widzimy, że względnie w najbardziej zadawalający sposób układają się stosunki tam, gdzie w kodyfikacyi przepisów biorą udział obie strony.

Na tej właśnie zasadzie opierają się tak zwane umowy taryfowe, które początkowo weszły w zwyczaj w Anglii, a od niejakiego czasu znalazły zastosowanie i w Niemczech. Umowy te następują we wszystkich tych wypadkach, kiedy z jednej strony zorganizowani przemysłowcy, a z drugiej ogół połączonych w stowarzyszenia zawodowe pracowników danej gałęzi, po bojkocie, strejku lub procesie przed sądem przemysłowym, ustanawiają wspólnie i zgodnie warunki pracy na przyszłość wogóle, a przedewszystkiem układają taryfę akordową i zarobkową we wszystkich jej najdrobniejszych szczegółach. Zwykle wystarcza zawarcie takiego „związku taryfowego“ między większością obu grup, gdyż mniejszość we własnym interesie ulega woli większości. Ekonomiści przezwali umowy te zbiorowemi. Mamy zatem w danym razie do czynienia z doskonałą peryodyczną obustronną regulacyą tych stron stosunku roboczego, które nie podlegają kompetencyi prawodawcy, a dla swej pstrokacizny są dlań nieuchwytne i nieprzystępne. Pomimo iż omawiana instytucya jest dopiero w zarodku, a zatem w wielu punktach nie mogła jeszcze sprostać swemu zadaniu, nie ulega wszakże wątpliwości, iż nadaje ona pewną stałość zarobkom i czasowi roboczemu. Dowolność i samowola ustępują miejsca porządkowi, który jako tako odpowiada interesom obustronnym.

Z tego, cośmy wyżej powiedzieli, nietrudno wysnuć wniosku o donośnej roli, jaką w świecie pracy odgrywa obecnie regulacya i prawodawstwo. Jeśli do tego dodamy ustawodawstwo o ubezpieczeniu społecznem, o stowarzyszeniach zawodowych i ich prawach, o biurach pracy itd., to można stanowczo orzec, iż ze stanowiska manczesterskiego nastąpił „koniec świata.“ Rozuzdany egoizm został opętany, „wolność osobista“ ograniczona, konkurencya ujęta w karby. W sposób mniej lub więcej wyraźny, mniej lub więcej doskonały prawodawstwo, wywalczone na drodze politycznej i ekonomicznej, stawia dobro warstw bezbronnych ponad interesy stopy procentowej i zysku.

Nie należy przez to pojmować, aby stosunek roboczy utracił swe dotychczasowe cechy zasadnicze: pozostał wolny kontrakt, nie znikła konkurencya, a podaż i popyt nie postradały swego wpływu. Nie ulega jednak wątpliwości, iż stosunek ten stopniowo, jakkolwiek nie we wszystkich swych odmianach w jednakowej mierze, przyjmuje charakter regulacyi społecznej. Oczywiście można tu mieć na myśli tylko bliższą przyszłość, a nie dalszą, o której trudno wogóle wyrokować. Otóż tendencya, o ile sfery zainteresowane będą czujnie stały na straży swych interesów, zmierza do pewnego ustalenia warunków życiowych i podniesienia dobrobytu kulturalnego. Jednocześnie arystokracya warstw pracujących nabiera, wskutek uczestnictwa w sądach przemysłowych i krzątania się koło spraw stowarzyszeń zawodowych itp., pewnego wyszkolenia i hartu społecznego. A to znów zjednywa im z konieczności coraz większy szacunek innych klas i sfer. To już nie chłop pańszczyźniany, którego okładano batogiem, lecz obywatel, któremu się należy równouprawnienie. Zasada ta występuje wszędzie, gdzie przedstawiciele klasy przedsiebiorczej i pracującej zmuszeni są pracować obok siebie, a więc nietylko w parlamentach i radach miejskich, ale i w sądach przemysłowych, urzędach rozjemczych, przy kontroli przepisów fabrycznych, przy zeznawaniu podczas ankiet rządowych, przy układaniu taryfy związkowej lub skali ruchomej, przy zawieraniu umowy co do uczestnictwa w zysku, przy wspólnem układaniu porządku roboczego lub zarządzaniu instytucyami patronalnemi itp.

O ile wogóle przepowiednie społeczne są możliwe i mają racyę bytu, to należy przypuszczać, że w bliższej przyszłości najmita na wyższych szczeblach hierarchii roboczej zajmie stanowisko w rodzaju urzędnika przemysłowego.

(C. d. n.)

H. Przedm.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Histerya sztuki.

Starsze pokolenie, które nie chce młodszemu wyrządzić żadnej krzywdy i uprawiać gwałtu, przed każdem surowszem osądzeniem uczuwa wielką trwogę. We wszelkich bowiem sporach młodzież ma zawsze w pogotowiu pokonywający argument: wy nas nie rozumiecie. Tej broni my używaliśmy w walce z naszymi poprzednikami, używają jej również przeciwko nam nasi następcy. Historya rozwoju duchowego zanadto wiele zapisała przykładów szkodliwej nietolerancyi, upartego zaślepienia, skostniałej zachowawczości tych, którzy schodzą z pola, względem tych, którzy nań wkraczają, zanadto często przyznawała ona słuszność ostatnim, a potępiała pierwszych, ażeby powoływanie się na te dowody nie było uzasadnionem i rozstrzygającem. Jeżeli tedy starsi wywierają nacisk swojem doświadczeniem i wiedzą, to niemniejszy terror wykonywają młodzi wiarą w swoje posłannictwo. Ileż to razy wywołano na arenę starć umysłowych duchy Galileuszów, Darwinów, Mickiewiczów, którzy musieli zwalczać napór skostniałego konserwatyzmu i w końcu odnieśli nad nim zwycięztwo! Ludzkość zaś tyle ma sympatyi do gorącego zapału, tyle czci dla wszelkiego zwiastowania zbawczej nowiny, że chociażby słyszała tylko bezładne i puste okrzyki, przyjmować je będzie z uwagą i nadzieją. Ona ciągle się odmładza, więc ufa młodości. Ten materyał i te warunki szczęścia, jakie wytworzyła sobie do wczoraj, wydają się zawsze mniej cennymi i pożądanymi, niż te, których oczekuje od dziś i od jutra. A to dziś i to jutro należy do pokoleń ostatnich.

Ale pomimo to starsze nie wyrzekną się swoich praw głosu, chociażby je w najszerszym zakresie przyznawały młodszym. Synowie nie mogą zawołać do ojców: milczcie! — nie mogą tem bardziej, że nie zawsze mają coś do objawienia, że nieraz w ich krzyku brzmi tylko niezużyta energia świeżych płuc i szum burzliwej krwi. Ten zatarg trwa ciągle i we wszystkich dziedzinach, obecnie wszakże najostrzejszą formę przybrał w sferze sztuki. Tu już niema mowy o porozumieniu: nieraz bowiem, gdy jedni ogłaszają radośnie narodziny arcydzieła, drudzy widzą w niem ze smutkiem potworną niedorzeczność.

W Salonie Krywulta urządzono malarską wystawę „młodych.“ Twórcy tych obrazów, a także ich wielbiciele, są niewątpliwie przekonani, że ona stanowi potężny i wymowny protest świąt sztuki przeciwko niedołęztwu i trupim upodobaniom jej starych hyen. Rzeczywiście, jest to protest w całem znaczeniu tego słowa: wszystko bowiem, co dotąd uważane było za główne pierwiastki i znamiona artyzmu, zostało umyślnie pominięte; wszystko zaś, co w nim poczytywano za wady i braki, podniesione zostało do godności najwyższych zalet — z zadziwiającą i niemiłosierną konsekwencyą. Więc zamiast prawidłowego rysunku wystąpił niedbały rzut, zamiast wykończenia — szkicowość, zamiast wyrazistości — rozmazane linie, zamiast jasnej myśli — ciemny symbol, zamiast piękna — brzydota. Jeżeli dawniej malarz starał się, ażeby go zrozumiano najdokładniej, obecnie wysila się, ażeby go nie odgadnięto; jeżeli dawniej poszukiwał wzoru kobiety ładnej i kształtnej, obecnie wybiera szkaradne wiedźmy i chorobliwe pokraki. Postacie kalekie, pokrzywione, wynędzniałe, rozczochrane, przypominające szpital, szynk, dom waryatów, sabat czarownic, a w każdym razie nieprzypominające niczem ideałów, są bohaterami i bohaterkami galeryi modernizmu. Stary Grek lub nowożytny mistrz Odrodzenia oslupiałby w takiej galeryi. Za mojej młodości, gdyby kilkunastoletni chłopcy podobnymi rysunkami i malowidłami zamazywali płótno i papier, ich nauczyciele i rodzice uważaliby to za stratę czasu i za pretensyonalność, zdradzającą brak najmniejszego talentu. A co do mnie, wyznam szczerze, że gdybym położył jakieś zasługi dla sztuki i gdyby mi za nie ofiarowano taki zbiór obrazów, odpowiedziałbym: „Kochani mistrze, dziękuję wam serdecznie za ten dowód wielkiej łaski. Proszę was tylko o jedno ustępstwo: pozwólcie mi wasze dzieła zachować w potrójnej pace i nie żądajcie, abym je rozwiesił na ścianach i codzień na nie patrzył. Musiałbym bowiem dla nich skrócić sobie życie.“

Skutkiem tego dla nas wsteczników, barbarzyńców, tępych filistrów (każdy z jakiegoś względu jest filistrem) sprawa tej najnowszej dekadencko-chlapiąco-smarującej twórczości nie jest wyłącznie artystyczną, lecz także społeczno-psychologiczną. Zwiedzając tego rodzaju wystawy i galerye, nie myślę wcale o sztuce, jej rozwoju, technice, ideałach, ale myślę nad tem: z jakiego gruntu wyrastają te nowotwory, co je wywołało? Nawet wyobraźnia ludzka, nawet jej płody, pozornie całkiem wyzwolone z rzeczywistości, są zależne od natury i warunków życia ogólnego. W niem tkwi przyczyna objaśniająca. Gdyby te dziwolągi malarsko-rzeźbiarskie ograniczały się do jakieś szczupłej grupy osób i pewnego obszaru, moglibyśmy je uznać za narośle osobiste i miejscowe. Ale one występują w całym świecie, są zjawiskiem powszechnem, szerokiem znamieniem czasu. Więc nie mamy przed sobą kilku lub kilkanastu narwańców zwyrodnienia, zamkniętego w szczupłej przestrzeni, w granicach jednego kraju lub ścianach paryskiej kawiarni „Czarnego kota,“ lecz coś, co się objawia wszędzie i podobnie. A co to jest?

Przypatrując się tym krzykliwie skłóconym barwom, tym twarzom chorym lub wyszarzanym, tym oczom zgasłym i smutnym, tym kształtom chudym i kalekim, tym konturom rozlewnym, bryłom płaskim, skórom

bladym, spostrzegamy w ich wspólnym mianowniku: chorobliwość, zmęczenie i gust do brzydoty. Nigdzie zdrowia, nigdzie energii, nigdzie piękna. Od Apolina i Afrodyty artysta odwraca się z niesmakiem, natomiast rozkoszuje się Satyrem i wiedźmą. Ci, którzy czują wstręt do wina i mleka a chciwie piją absynt i naftę, ci, których dławi świeże powietrze szczytów a mile odurzają duszące wyziewy błotnych nizin, ci, dla których miłość jest rozpustą, rozkosz — przesytem, a wesele — orgią, ci, którzy palą opium, wstrzykują sobie morfinę, wąchają paczulę, w roznamiętnieniu rozpruwają kobiety, są oblubieńcami muz tej sztuki. Ale czy można przypuścić, że pewnego dnia, bez głębokich przyczyn, ni stąd ni zowąd, artyści zaczęli mazać bezmyślnie pędzlem po płótnie, umieszczać na niem źle rysowane i niedbale malowane potwory, istoty szpetne, zwyrodniałe i chorobliwe? Byłoby to równie niedorzecznem, jak przypuszczenie, że histeryczka, będąc przedtem zdrową, postanowiła pić ocet, mieć napady nerwowe, bóle głowy, drgawki, guzy i znieczulenia. Sztuka obecna jest niewątpliwą histeryczką, ale do tego stanu doprowadziło ją życie. Rzeźbiarze, malarze, poeci wzięli od swoich społeczeństw straszne zdenerwowanie, rozstrój umysłowy, przewlekłe cierpienia duszy, nieprawidłowe ruchy serca, bezsenność w nocy, przywidzenia na jawie, zamiłowanie w podnietach ostrych, w brzydocie, marach i tajemniczości. Nie lubią pełnego słońca, pięknych kształtów, objawów zdrowia i siły, toną w zmierzchu, ścigają upiory i stwarzają świat halucynacyi. Patrząc na ich twory, ubolewać należy nie tyle nad upadkiem sztuki, która znowu się dźwignie, ile nad osłabieniem energii życia tegoczesnych pokoleń wogóle. Jakże smutną, nieszczęśliwą i chorą czuć się musi ludzkość, która wydaje takich artystów i ogląda bez bólu takie ich dzieła! Jakże ona byłaby przerażona swym stanem, gdyby się zastanowiła nad swym gustem! W złudzeniu sądzi ona, że można mieć potargane wszystkie nerwy, i że można nosić w swem łonie wszystkie choroby społeczne, że można doprowadzić organizm do ciągłego drżenia lub zupełnej niemocy, a jednak pomimo to spokojnie myśleć i dzielnie tworzyć. Bynajmniej. Odkąd Nabuchodonozor zaczął chodzić na czworakach, jeść trawę i udawać bydlę, nie umiał już w żadnym względzie być człowiekiem. Jeżeli więc ludzkość naśladuje Nabuchodonozora, każdy jej organ jest dotknięty tą przemianą. Człowiek, bredzący w malignie, ma popsutą nietylko zdolność myślenia — on jest wogóle chory. To też komentarzów do obecnych płodów artyzmu szukajmy nie w dziejach sztuki i nie w estetyce, lecz w socyologii.

Poseł Prawdy.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Ignacy Matuszewski w swej książce o Słowackim i modernizmie.

(Dokończenie).

Nie będziemy kusić się o to, by w pobieżnym artykule wyczerpać nieprzebraną wprost moc szczegółów książki p. Matuszewskiego, szczegółów zawsze ciekawych, pochwyconych w sposób bystry i zazwyczaj trafnie wyjaśnionych. Zdaje mi się jednak, iż zaznaczyłem, dlaczego uważam to dzieło za znamienny etap w rozwoju pojęć naszych o Słowackim. P. Matuszawskiemu, zdaniem mojem, przypadło w udziale to rzadkie szczęście, że jego sądy estetyczne zostawią w przekonaniach ogółu i krytyki ślad trwały. Umie on w sposób prosty i przejrzysty podać wyniki swych rozmyślań, umieześrodkować uwagę na tym punkcie, dokoła którego wszystkie inne szczegóły układają się w obręcze współśrodkowe. Czy mam przypominać jego syntezy o „Dyable w poezyi,“ zwłaszcza to przeciwstawienie dwu typów: Lucyfera i Mefistofelesa? Albo estetyczne oceny talentu Sienkiewicza, analizę powieści egzotycznej itp.? I tak ujmujący jest urok tej prostoty, i taka siła przekonania, iż w wykładzie jego nawet błędna teoretyczna podstawa (jak w rozprawach o dramacie staroindyjskim) utraca swą anormalność, a słowa jego w pamięci czytelników odzywają się echem rozgłośnem.

Mówiąc to wszystko, nie chcemy zgoła utrzymywać, że poglądy Matuszewskiego są nagłym błyskiem, rozjaśniającym dotychczasowe ciemnie. Przemiana pojęć i upodobań estetycznych rozwija się stopniowo i w świetle świadomości. I trudno byłoby przypuścić, byśmy potrzebowali do dziś dnia o tak świetnem zjawisku, jak twórczość Słowackiego, oczekiwać całkowitego objawienia, by dotychczas nie zdobył się nikt na wypowiedzenie bodaj częściowej prawdy. Nie będę się zatrzymywał na Małeckim, którego autor sam uważa (podobnie jak i Krasińskiego) za swego poprzednika. Przejdźmy do rzeczy świeższych i zstąpmy do szczegółów. Jeżeli p. Mat. kładzie nacisk na przewagę w Słowackiego „nastroju,“ na podmiotowe zabarwienie jego tworów, na lekceważenie przez niego faktu, plastyki, harmonii kształtów realnych, przedmiotowej ciągłości działania, charakterów itp., to któż, pisząc o Słowackim, zapomniał kiedy o bujnym rozroście jego wyobraźni, o tej szczególnej, czarnoksięskiej mgle, w którą owijał swe twory? Chyba nikt. Ta tylko różnica, że już dzisiaj na to nie sarkamy. A nie mówię wyłącznie o odruchach wrażeniowych, lecz także o sformułowanych pojęciach i twierdzeniach. „Obok ściśle przedmiotowej poezyi Mickiewicza, poezya Słowackiego jest malarstwem nastrojowem, jest impresyonizmem,“ mówi o wieszczu prof. Brückner w swej świeżo wydanej historyi piśmiennictwa polskiego. Przypomnijmy sobie rozprawę Jellenty: „Słowacki dzisiaj.“ Szkic to zaledwie, lecz czyż tam podmiotowości autora „Króla-Ducha“ nie wysunięto na plan pierwszy? Czy w tych samych niemal wyrażeniach, jak u p. Matuszewskiego, nie powiedziano o „bluszczowości“ poety, że mamy tu do czynienia często nie tyle z naśladownictwem właściwem, ile raczej ze świadomym eksperymentem artystycznym; że przyswojone tematy były tylko kanwą, na którą dopiero poeta rzucał najcudowniejsze desenie przedziwnej, niesłychanej piękności? Czy przepomniano o przeduchowieniu tej poezyi, dla której forma, wbrew temu, co nam dziś jeszcze mówią, była jeno narzędziem, nie celem? Czy przepomniano o tej ostatniej dobie, kiedy Słowackiemu cały świat zdał się „warsztatem pracujących nad zdobyciem coraz doskonalszej formy duchów“?—a w tem tylko świetle może być właściwie oceniony „Król-Duch.“ I jeżeli chodzi nawet o terminologię, lubo to rzecz podrzędna, to czyż nie przeczytamy w tym samym, wymienionym już wyżej szkicu, że „Słowacki traktuje rzecz swą *muzycznie*: zamiast faktów rozsnuwa nastroje i uczucia“? Wprawdzie już Krasiński utrzymywał to samo. Twierdzenia powyższe okryły się u Jellenty tu i owdzie zbyt zawikłaną gęstwą frazeologii, alež to przecie istoty rzeczy nie zmienia. Jeszcze jeden szczegół. W książce p. Matuszewskiego spotykamy trafną paralelę między Słowackim a Nietzschem (*contra* Spasowicz). Lecz przed chwilą zaledwie wysłuchaliśmy takiej samej z ust. J. Żuławskiego (w „Prolegomenach“). Więc nie mówimy o bezwzględnej oryginalności czy nowości każdego poglądu w nowem dziele o Słowackim; lecz ocenić musimy organiczne skupienie rozproszonych gdzieindziej rysów. Co gdzieś jest wzmianką, tu staje się cząstką systematu; co gdzieindziej improwizacyą lub szkicowym rzutem — tu wnioskiem, wyrosłym z gruntu ustalonych faktów; gdzieś szczegółem odosobnionym — tu jedną z tkanek żywego organizmu. I dlatego słowa, już dawno powiedziane, tu stają się nowemi; rzeczy znane — punkcikami świetlnymi, rozwidniającymi inne, pozostające dotychczas w cieniu.

Nie na wszystkie poszczególne wnioski moglibyśmy wyrazić bezwarunkową zgodę. Dla przykładu zatrzymajmy się na tym oto punkcie. P. Matuszewski stanowczo powstaje przeciwko twierdzeniu, jakoby Słowacki był Weronesem poezyi polskiej (podobno określenie Klaczki), jakoby był kolorystą „w malarskiem, wzrokowem tego słowa znaczeniu.“ Nie umie on rozkładać i stopniować właściwie plam barwnych, nie dbał o należyte ich ustosunkowanie do perspektywy i oświetlenia. Operuje przeważnie „jubilerskim“ materyałem, używa barw świetnych, ale o jednostajnem natężeniu. Jeżeli pomimo to wywołuje wspaniałe efekty, to dlatego, że „nie osadzał w swoich strofach pereł i rubinów, nie troszcząc się o nic innego, prócz dekoracyjnej harmonii plam, lecz używał ich, *jako środka charakterystyki psychologicznej, jako czynników do spotęgowania nastroju duchowego.*“ Nie chcę w najmniejszym stopniu osłabiać tego ostatniego wniosku, sądzę atoli, iż na drodze, która nas tu przywiodła, potknąć się musimy o kilka nieporozumień. Trudno np. uwierzyć, iżby częste użycie i nadużycie przymiotników „złoty,“ „srebrny“ itp. środków ekspresyi, miało być istotnie niezbędne do „spotęgowania nastroju duchowego.“ Większe bogactwo barw i odcieni byłoby tu rzeczą bardziej celową. Nie możemy też przystać i na to, iżby, wbrew utartym przekonaniom, Mickiewicz „był *nietyle* rzeźbiarzem, *ile* właśnie kolorystą w poezyi.“ Wywody Witkiewicza są słuszne, ani słowa; lecz czy po za wyjątkowemi, „kolorystycznemi“ organizacyami, słuchacz naprawdę może *odtwarzać* ze słów koloryt malarski *w całej jego pełni*, nie w postaci tylko układu paru mniej lub więcej jaskrawych plam? I czy przeto wrażenie *kolorytu* (w malarskiem znaczeniu) może górować nad innemi? A zresztą, jeżeli mowa o barwności i malowniczości, czemuż mamy myśleć o plamach barwnych wyłącznie i troszczyć się o stopień ich zespołu? „Ciągle powiadam, że kraj się już pali, i na świadectwo *rzucam ognia zdroje*, a to się *pali* tylko *serce moje?*“ Nie *odtworzono* tu żadnego widzialnego kształtu, więc niema rzeźby i niema obrazu malarskiego; lecz oto za takie klejnoty, tysiącami w poezyi jego rozsiane, klejnoty niewidzialnego blasku i niesłychanej piękności, poezyę wieszcza nazywaliśmy zawsze malowniczą, w stopniu, przez nikogo odtąd nieosiągniętym. Bez plamy barwnej, lecz przez ruch jakiegoś punkciku, przez skrzyżowanie paru linij, można wywołać odpowiedni efekt. Spojrzmy np., jak „piana *pod piersi okrętu się garnie*,“ lub, jak „golf (jest) ubrany latarni *przepaską*,“ przecież punkt perspektywiczny obrazu spoczywa tu wyłącznie w *przepasce*, nie w kolorze. „Na samej *wstążce* srebrzystego żwiru, co się nad morzem pod krzakami winął, jak sztuczna biała *oprawa* szafiru, spoczątem...“ Prawa kolorytu malarskiego są tu z pewnością pogwałcone, gdyż poeta daje nam obraz nie z tego punktu, w jakim rzeczywiście się znajduje. Obraz ten jednak jest barwny, a zależy to znowu nie od *srebrzystego* żwiru i *białej* oprawy *szafiru*, lecz że widzimy *wstążkę* srebrzystą i białą *oprawę*.

Mimo to wszystko pewna, że z rozdziału, poświęconego kolorytowi u Słowackiego, nauczyliśmy się wiele, gdyż wejrzeliśmy dokładniej w składowe pierwiastki owego kolorytu, i rozwiązaliśmy, częściowo przynajmniej, te antynomię: „fantazya... bogata, jak przyroda, *choć lubująca się w powtarzaniu barw niektórych*“ (P. Chmielowski: *Liter. polska*, IV, 193).

Nie w kształcie zarzutu, lecz dla charakterystyki autora, musimy dopełnić notatkę naszą paru uwagami, dotyczącemi jego metody krytycznej. Wspomnieliśmy sąd autora o Sienkiewiczu. Oto wynik dochodzeń: „*Całą istotę* talentu autora „Ogniem i mieczem“ stanowi fenomenalna zdolność odtwarzania, za pomocą prostych niezwykle środków, plastycznej, malowniczej strony życia i świata? („Swoi i obcy,“ 141). Jeżeli nie mamy uważać tej formuły za ilustracyę innych wniosków, lecz za kwintesencyę analizy czy też za najwyższy stopień syntezy, uderzy nas ta okoliczność, iż synteza owa jest ściśle estetyczną i formalną, że ustala tylko pewien *typ* twórczości, pozostawiając w cieniu rzeczywistą treść pojęcia: „Sienkiewicz.“ Istotnie, w badaniach swych p. Mat. jest często (nie mówię: zawsze) estetykiem, nie krytykiem. Jest nim przeważnie w swej ostatniej książce. Pod tym względem dostrzegamy jeden poważniejszy wyjątek, to świetne poprostu ujęcie tego kierunku, w którym rozwijał się pęd myśli i wyobrażeń poety w jego epopei mistycznej. („Król-Duch“ — to obraz doskonalenia się pewnej grupy ludzkości pracą *duchów* indywidualnych, nie drogą przemiany zewnętrznych kształtów). Kto tych parę kartek przeczyta, nie da się pewnie sprowadzić na manowce analizą hr. Tarnowskiego, karcącego poetę za to, iż był słabym historykiem i filozofem. Gdyby nie charakterystyka „Króla-Ducha“ i gdyby nie parę ustępów, do niej przylegających, może nie zdalibyśmy sobie sprawy, dlaczego za godło swej książki autor obrał te słowa „Testamentu“: „Jednak zostanie po mnie ta siła fatalna....“ Bo przecie trudno przypuszczać, by „muzyczny“ rodzaj twórczości miał koniecznie—zjadaczów chleba w anioły przerabiać...

Podobnież, jeżeli zwrócimy uwagę na sądy autora o modernizmie, da się odczuć przeważnie stanowisko estetyczne. Wprawdzie autor nie pominął wielu istotnych punktów, które składają się na wewnętrzną treść wzmiankowanego kierunku czy kierunków, ale najogólniejszy wniosek jest taki: „Co stanowi *ideał* sztuki najnowszej? Wypowiedzenie się całkowite indywidualności artystycznej za pomocą wszelkich środków ekspresyi.“ Wszak to tylko technika, a co najwyżej usposobienie, nie ideał pozytywny. A jeżeli zapytamy o *genezę* prądu, więc o to, co rzuca najjaskrawsze światło na przebieg i konieczność wszelkich zdarzeń dziejowych, stających się i przemijających, czy to w zakresie osobniczego życia, czy bytowania społecznego, jako odpowiedź otrzymamy tylko „konieczność ewolucyjną, dającą... wielką przewagę żywiołom podmiotowym nad przedmiotowymi, lirycznym nad epicznymi w sztuce.“ Tainowska teorya środowiska, według autora, wyjaśniając jedne objawy, nie tłomaczy innych, przeciwnych tym. A czy „konieczność ewolucyjna“ wytłomaczy nam wahania, tak wyraźnie zaznaczające się w okresie lat kilkudziesięciu, jak klasycyzm, romantyzm, realizm i znowu romantyzm? Czy wyjaśni wszelkie szczegóły tych odchylań się? I tu jest znowu pukt styczny autora z modernistami — nieuwzględnianie oddziaływań społecznych. Stąd pochodzą nawet błędy jego analizy, jak np. ten oto: „Pod względem filozoficzno-*społecznym* odnajdujemy również we wszystkich wspomnianych prądach pewne rysy wspólne z ideową strną prac autora „Genezis z Ducha.“ Niech na to odpowiedzią będzie własna paralela autora między Słowackim a Nietzschem. Czyż pesymistom dzisiejszym, wyzbywającym się wszelkich pojęć i pożądań doskonalenia się zbiorowego, przyznawać się do pokrewieństwa ze Słowackim, dla którego, jak się wyraża Feliński, świat był warsztatem pracujących — pracujących solidarnie — duchów? Niech czytelnik uprzytomni sobie choćby to, co pisał poeta do Krasińskiego o „obcowaniu świętych“ w okresie Towiańszczyzny...

Ale raz jeszcze powtarzam z naciskiem, poczyniłem ostatnie uwagi bynajmniej nie w celu obniżenia wartości pięknej, wyjątkowo pięknej, książki p. Matuszewskiego. Wiedząc jednak, czego mamy w niej szukać, wiemy też, jakie jej kłaść wymagania. A wymaganiom tym odpowie w zupełności.

A. Drogoszewski.

Notatki literackie i artystyczne.

— *Pamiętnik literacki.* Rocznik I, zesz. II. Drugi zeszyt wydawnictwa, o którego ukazaniu się pisaliśmy niedawno obszerniej, odznacza się niemniej urozmaiconą treścią, jak pierwszy. Z pomiędzy rozpraw wysuwa się na plan pierwszy wyborne studyum A. Brücknera p. t. „Łukasz Opaliński,“ w którem zasłużony pracownik na niwie dziejów naszego piśmiennictwa rzuca snop światła na nieznaną prawie dotychczas postać wybitnego satyryka w. XVII, nieustępującego w niczem bratu swemu Krzysztofowi. Z prac, rozpoczętych w pierwszym zeszycie, mamy tu dokończenie ciekawego studyum St. Windakiewicza: „Erotyk Kochanowskiego,“ oraz źródłowej rzeczy Ig. Chrzanowskiego „O satyrach Naruszewicza.“ Przykry zawód sprawia natomiast brak dalszego ciągu pracy Chmielowskiego o teoryach dramatu i wybornego studyum Porębowicza o najnowszej literaturze polskiej.

Z pomiędzy ciekawych zawsze „notatek“ zwracają uwagę przyczynki ks. J. Fijałka: „Z dziejów humanizmu w Polsce. Niemcy w uniwersytecie krakowskim w XV i XVII w.“; H. Łopacińskiego: „Przyczynek do historyi plagiatów w piśmiennictwie polskiem“ i in.

Co do „materyałów,“ musimy powtórzyć dawniejszy zarzut: redakcya daje im stanowczo za dużo miejsca; zamiast przedrukowywać *in extenso* dokumenty, dość by było streścić je, a wynik badań nad nimi zawrzeć w jakimś przyczynku. A wtedy znalazłoby się więcej miejsca na rozprawy.

Zeszyt kończy pracowita bibliografia literacka czasopism, w której nie opuszczono żadnego wierszyka, żadnej powiastki, żadnego fejletoniku, drukowanego w byle świstku, nawet przez najpodrzędniejszych autorów, bez wszelkiej wartości literackiej. Czy nie lepiej byłoby dokonywać tu pewnego wyboru i wymieniać tylko rzeczy cenniejsze? *H. G.*

KŁOSKI.

Mleczarnia udziałowa. — Niewyczerpane zapasy. — Uniwersytet w Poznaniu. — „Dar narodowy.“ — Przyjaciele Boerów.

Nasza prasa codzienna miała w zeszłym tygodniu dziwny wypadek. Przez kilka dni z rzędu wykrzykiwała ciągle: „Mleczarnia udziałowa na rogu...“ Niepodobna „szóstego mocarstwa“ — jak ją kiedyś nazwano— posądzić o zajmowanie się z dobrej woli tak błahą rzeczą. Niewątpliwie też uległa ona suggestyi i powtarzała machinalnie słowa, poddane jej przez hypnotyzera. Co to za złośliwiec wypłatał jej takiego figla? Podobno jakiś agent od ogłoszeń, który, korzystając z wrażliwości naszej prasy, umieścił na froncie jej domów anons o nowej mleczarni i kazał uśpionej wpatrywać się weń przez kilka dni. Stąd powstał ów dziwny widok. Poczta, druty telegraficzne i telefoniczne, języki reporterskie znosiły do redakcyj masę rozmaitych nowin, a prasa nie zwracała na nie prawie żadnej uwagi, powtarzając ciągle: mleczarnia udziałowa na rogu... Jeden nawet z dzienników, po otrzymaniu depeszy z Niemiec, krzyknął: mleczarnia udziałowa na rogu... w zamku Malborskim! Na szczęście już ta chwilowa przypadłość minęła.

* * *

Prawda nie miała złudzeń. Antygermański ruch w naszym handlu powitaliśmy z uznaniem i—sceptycyzmem. Przewidywaliśmy, że nasz Merkury sprawi sobie żupan z polskiego sukna, podbity niemieckimi lisami. Otóż podobno takich żupanów zaczyna się pojawiać coraz więcej. Jest to nieocenione ubranie, bo nadaje się wybornie do parady i grzeje. Ustrojony weń bojownik krzyczy, jak Otello: „Niech mi łada baba rynkę na głowę włoży, jeśli ulęknę się walki z Niemcami. Ale, kochani towarzysze, mam zapasy, dawniej sprowadzone... muszę je sprzedać.“ Według naszych wiadomości, te „zapasy“ są tak znaczne, że się nigdy nie wyczerpią.

Świeżo odbył się w Warszawie sejmik księgarski, na którym zaprzysiężono zerwać stosunki z introligatorniami niemieckiemi. Zaręczano nam jednak, że agent, przybyły w tej sprawie z nad Renu, wyjechał po sejmiku bardzo zadowolony, gdyż przekonał się, że w Warszawie są jeszcze... znaczne zapasy jego towaru.

* * *

Poznań—Bydgoszcz — powtarzali przedstawiciele „uciśnionego narodu,“ nie mogąc się zdecydować, które z tych dwu odwiecznych gniazd barbarzyństwa polskiego uszczęśliwić wspaniałomyślnie nowym przybytkiem humanizmu i rozsadnikiem kultury, w postaci wszechnicy niemieckiej o zgóry określonem zadaniu—germanizacyi Polaków. Wątpliwości te rozstrzygnął świeżo niejaki dr. Brunner, profesor prawa w uniwersytecie berlińskim. Ten mąż uczony i bogobojny po długich wywodach w ostatnim zeszycie *Deutsche Monatschrift*, mających na celu wywołanie przed zaniepokojonym wzrokiem współziomków szeregu widm, uosabiających niebezpieczeństwo, grożące *Niemcom* w razie utworzenia w Poznaniu lub Bydgoszczy hakatystycznego uniwersytetu pruskiego, wypowiada się ostatecznie stanowczo — przeciwko temu projektowi, rzucając natomiast myśl, aby w obu miastach założyć „za to“ po szkole dla podoficerów lub po korpusie kadetów. Będzie to również, zdaniem uczonego profesora, bardzo piękny dar, a stanowczo znacznie bezpieczniejszy!

* * *

Niektóre nasze zabytki historyczne, jak przekwitłe piękności, nie mogą się doczekać ustalenia swego bytu i — właściciela: dla wszystkich są za drogie i — bezużyteczne. Nie pamiętam, ilu posiadaczy zmienił już w ostatnich czasach majątek Pieskowa Skała z pięknym i starożytnym zamkiem na górze i „maczugą herkulesową“ na straży, i oto znowu *Gazeta Warszawska* i *Goniec Łódzki* zapytują rozpaczliwie: „Kto kupi Pieskową Skałę!?“ „Kto ją wyzwoli z rozwartych już miłośnie ramion pp. Erlicha i Blanksteina, którzy w poszukiwaniu swych należności (53,500 rb.) uzyskali termin licytacyi w sądzie okręgowym kieleckim na 21 sierpnia?“

W ciągu ostatnich kilkunastu lat coraz to nowe projekty uderzają skrzydłami wyobraźni dziennikarskiej w mury zamku w Pieskowej skale, lecz do jego wnętrza żaden z nich przedostać się dotąd nie może, ani wzruszyć nikogo z tych, którzy przynajmniej pięknymi zabytkami przeszłości interesować by się u nas żywiej po-

winni. Miano tam już urządzać jakieś muzea, to znów wzorowe letnisko, a nawet schronienie dla literatów, wybaczą więc czytelnicy, że i my spróbujemy dorzucić do tej galeryi jeszcze jeden projekcik: a gdyby tak, choćby z pomocą pp. Erlicha i Blanksteina, nabyć składkowo te dobra na „dar narodowy“ dla naszych przyjaciół berlińskich? Wszak oni podobno mają szczególną słabość do wszelkich „zamków historycznych.“ A przytem wartoby się wywdzięczyć za marsowe projekty szkolne dla Poznania...

* *

Korespondent wiedeński *Gazety Polskiej* donosi o kilkunastoletnim przyjacielu Boerów, który tak mocno wierzył w ostateczny tryumf ich dobrej sprawy i tak go pragnął gorąco, że na wieść o utracie niepodległości i upadku Transwalu i Oranii— ni mniej ni więcej, tylko — powiesił się z rozpaczy. Był to widocznie młody idealista, nieprzystosowany stanowczo do dzisiejszych warunków istnienia... Ciekawa rzecz jednak, jaki sąd wydadzą o tym przyjacielu „na śmierć i życie“ dzielnych chłopów holenderskich niezliczeni do niedawna warszawscy ich sprzymierzeńcy, którzy nie tworzyli wprawdzie, wzorem zmarłego w Wiedniu marzyciela, oddziałów, „wiernych sztandarowi boerskiemu,“ ale — niemało filiżanek i szklanek „czarnej“ wychylili przy politykujących stolikach cukiernianych za powodzenie oręża transwalskiego. Podobno dzisiaj owi sprzymierzeńcy wczorajsi odzywają się już z niemniejszym zapałem o „wspaniałomyślności zwycięzkich Anglików.“ Ha, cóż robić! „Umarli wartko jadą“— wyrzekł słusznie autor „Lenory.“

NA MARGINESIE.

Ideały wychowawcze Amerykanów. Profesor Mekeen Catell w przemówieniu swojem w dwudziestą piątą rocznicę otwarcia uniwersytetu Johns Hopkins'a, wypowiedział kilka ciekawych uwag o chowaniu i kształceniu młodzieży dzisiejszej i o kierunku, jaki na przyszłość dążność reformatorska w tym względzie przyjąć powinna. Jakkolwiek przemawia on tylko do społeczeństwa amerykańskiego, które wydaje nam się w znacznej mierze wolnem od błędów i usterek, to jednak ze słów jego przekonać się możemy, że szkolnictwo i wychowanie w Ameryce, ma swe niedomagania. Oto co o niem mówi prof. Mekeen Catell:

„Naukę dziecka, jeśli udało mu się uniknąć sideł ogródka dziecinnego, zaczynamy od wykładu przedmiotów najbardziej utylitarnych. Powierzamy je nauczycielce źle płatnej, niedostatecznie do swego zadania uzdolnionej. W gromadzie innych dzieci siedzieć ono musi w milczeniu, skrępowane, w wieku, kiedy ruch i swoboda niezbędne są dla jego rozwoju fizycznego, a nawet umysłowego, w ciasnem, niezdrowem pomieszczeniu, kiedy przedewszystkiem jak najwięcej powinno przebywać na powietrzu. Przez kilka lat w takich warunkach pracuje dziecko od sześciu do ośmiu godzin dziennie nad przyswojeniem sobie tej części wiedzy technicznej, którą mogłoby zdobyć w ciągu dwóch lat, ucząc się po dwie godziny dziennie. Przechodzi następnie do szkoły wyższej, gdzie uczy się greckiego, łaciny, francuskiego, niemieckiego, zaniedbując w znacznej części angielski. Podręczniki do nauki matematyki tak są ułożone, aby zabić wszelką myśl, a jeśli nauka jest wykładana, to w sposób najbardziej oderwany od życia ludzkiego. Chłopiec osiemnastoletni, wchodząc do kolegium z głową dostatecznie wypchaną wszelkiego rodzaju nieużytkami, znajduje się odrazu w otoczeniu zupełnie odmiennem pod względem społecznym, lecz studya jego kręcą się w dalszym ciągu około łaciny, greki, elementarnej matematyki i wypracowań angielskich, aż do roku dwudziestego drugiego lub dwudziestego trzeciego, kiedy trzeba zabrać się do studyów zawodowych i zacząć pracować nie na żarty.“ „Nie wiem, co nam przyszłość przyniesie — mówi w dalszym ciągu — lecz jestem przekonany, że niektóre rzeczy usunąć musi.“ Naukę czytania, pisania i rachowania prawie rozpocząć z dzieckiem w dziesiątym roku, ośmiogodzinne zajęcia w szkole sprowadzić do dwóch godzin dziennie, co pozwoliłoby tego samego budynku szkolnego używać dla znacznie większej, niż dotąd, ilości dzieci i wynagrodzenie nauczycieli podwyższyć znacznie.

Chłopiec w osiemnastym roku życia powinien skończyć szkoły i wejść do uniwersytetu, a w dwudziestym pierwszym wziąć udział w pracy ogółu. Wykształcenia swego nie powinien nigdy uważać za skończone i przez wiele lat, jeśli nie przez całe życie, powracać do uniwersytetu co pewien czas dla odświeżenia i przegimnastykowania umysłu.

Prof. Mekeen Cattell wierzy przedewszystkiem w system wzajemnej pomocy: niech dziecko młodsze uczy się od starszego, uczeń od nauczyciela, któremu pomaga; niech każdy w tem, do czego przykłada ręki, będzie jak najbardziej zainteresowany, niech się stara, by praca jego stała się prawdziwie użyteczną, by dała ogółowi coś nowego, by jego samego wypchnęła na czoło. Chłopiec — mówi on — od pierwszej chwili swej nauki powinien mieć jakiś określony cel przed sobą, przygotowywać się np. do zawodu swego ojca, ale jednocześnie nauczyciel i przełożeni mają pilnie badać jego usposobienie i uzdolnienie specyalne. Studya jego powinny mieć łączność z pracą i zadaniem jego życia, lecz jednocześnie należy mu dać coś, coby to życie zdobiło i uprzyjemniało: sztukę, sport, lub uzdolnienie w jakiejś gałęzi wiedzy.

Uniwersytet, jak utrzymuje profesor Cattell, powinien być właściwie zbiorem szkół zawodowych, gdzie przez codzienne obcowanie z tem, co świat ma najlepszego, kształciłby się umysł młody; bo w istocie rzeczy uniwersytet tylko to dać może: rozwinąć zdolność przyrodzoną, dać inteligencyi kulturę.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. *Dziennik Poznański* zamieścił następującą wiadomość, podobno prawdziwą: „Dowiadujemy się z pewnego źródła, że p. W. Kossak, przedstawiwszy parze cesarskiej w pracowni swej w Monbijou ostatnią swą pracę, olbrzymi portret cesarza ze świtą, udał się do Poczdamu i tam generał-adjutantowi cesarza, von Plessenowi, oznajmił swe postanowienie opuszczenia Berlina. P. W. Kossak prosił generała o wyrażenie w jego imieniu wdzięczności cesarzowi za to, co osobiście dobrego doznał od niego, z żalem jednak wyraził niemożność wobec warunków dzisiejszych pozostania dłużej w Berlinie. W tych dniach zaś wyjechał p. W. Kossak do Paryża, aby tam wynająć pracownię i urządzić mieszkanie dla swej rodziny.“

— Galicyjski Wydział krajowy uchwalił projekt podwyższenia płac nauczycielom szkół ludowych. Skorzystają z tej podwyżki nauczyciele młodzi, dla starszych zaś ustanowiono dwie kategorye płac, zamiast dotychczasowych czterech.

— Z obwodu Aurich wydalono 350 polskich robotników rolnych, pochodzących z Galicyi.

— Subjekci handlowi w Peszcie urządzili na ulicach domostracyę, domagającą się zamykania sklepów w niedziele.

— W Krakowie organizuje się stowarzyszenie, którego zadaniem będzie przyjmowanie i oprowadzanie po mieście przybyszów, zwłaszcza włościan.

— Ludność Łodzi, według ostatniego obliczenia w d. 1 stycznia 1902 r., wynosiła 313,270 mieszkańców, w tem 108,782 stałych, i 204,488 niestałych. Według wyznań było: prawosławnych 5,840 (w tem 981 ludności stałej), katolików 147,869 (42,040 stał.), ewangelików 80,842 (35,192 stał.), baptystów 1,579 i żydów 77,125 (29,664 stał.). Do liczby powyższej nie są włączeni mieszkańcy przedmieść Łodzi: Bałut, Żubardzi, Widzewa, Rokicia Starego i Nowego i in.

Szkoły i wychowanie. Ministeryum oświaty przypomina dawniej wydane rozporządzenie, nadające wychowańcom gimnazyów możność wstępowania do uniwersytetów tylko we właściwych okręgach naukowych.

— Studya w uniwersytecie warszawskim ukończyło w roku bieżącym 135 studentów: 82 wydział prawny, 40 lekarski, 9 matematyczny i 4 przyrodniczy.

— Z początkiem nadchodzącego roku szkolnego otwarte będą przy seminaryum nauczycielskiem w Łęczycy kursa pedagogiczne dla przygotowywania nauczycieli szkół początkowych. Przyjmowani będą bez egzaminów młodzieńcy w wieku od 16 do 19 lat, którzy ukończyli cały kurs nauk w szkołach miejskich typu 1872 i 1887 roku, powiatowych i seminaryach, oraz tacy, którzy ukończyli naukę w innych szkołach, z programem nie niższym od szkół miejskich. Kursa trwać będą rok, bez żadnej opłaty za nauczenie. Lekcye rozpoczną się dnia 5 września. Prośby o przyjęcie z załączeniem metryki, świadectwa pochodzenia i ukończenia kursu szkolnego składać należy na ręce inspektora-kierownika seminaryum nauczycielskiego w Łęczycy.

— Podania o przyjęcie do politechniki kijowskiej przyjmowane będą od 2 lipca r. b. Na kurs pierwszy postanowiono przyjąć 500 kandydatów.

— Mieszczanin Zimin ofiarował 100,000 rb. na założenie i utrzymywanie w Tomsku instytutu bakteryologicznego.

— Senat akademicki uniwersytetu berlińskiego odrzucił podanie studentek, domagających się praw imatrykulacyi na równi z mężczyznami dla tych słuchaczek, które złożyły świadectwa dojrzałości z gimnazyów żeńskich.

— Prof. O. Bujwid obrany został dziekanem wydziału lekarskiego w uniwersytecie Jagiellońskim.

— Ministeryum oświaty ponowiło rozporządzenie, na zasadzie którego osoby z wychowaniem domowem, które składały egzamin w średnim zakładzie naukowym, w celu wstąpienia do jakiejkolwiek klasy wyższej i złożyły go zadowalająco, lecz nie przyjęto ich dla braku miejsc wolnych lub dla innych przyczyn, mają prawo otrzymania świadectwa, z zaznaczeniem, że daje ono te same prawa, jakie przysługują w służbie cywilnej i przy odbywaniu powinności wojskowej kończącym kurs klas odpowiednich w gimnazyach, progimnazyach i szkołach realnych.

Zdrowie publiczne. Grono obywateli, z doktorami Sokołowskim i Baranowskim na czele, złożyło do zatwierdzenia władz projekt ustawy warszawskiego związku przeciwgruźliczego, którego zadaniem będzie wszelkimi przez naukę i doświadczenie wskazanymi środkami zapobieganie szerzeniu się gruźlicy, ułatwianie leczenia się osobom dotkniętym tą chorobą, rozciąganie opieki nad rodzinami ubogiemi suchotników, oraz badanie naukowe istoty tej choroby i sposobów jej leczenia.

— W Szanghaju wybuchła cholera i przybiera z każdym dniem większe rozmiary. Umiera po kilkadziesiąt osób dziennie.

— Dżuma pojawiła się znowu w Europie, na dwóch okrętach, przybyłych z Indyj do Pireusu i Dunkierki.

Komunikacye. Od 14 lipca wprowadzone zostają nowe przepisy celne, na mocy których przesyłki będą zwracane z powrotem za granicę, jeżeli w deklaracyi nie będzie wymieniona ilość i znaczenie wysłanego przedmiotu, oraz jeżeli nadawca lub urząd pocztowy zagraniczny nie opatrzą tych przesyłek swojemi pieczęciami.

Sprawy ekonomiczne. Zawiązaną została w Warszawie spółka w celu sprzedaży produktów ogrodowych i sadowniczych.

— Podolskie Towarzystwo rolnicze urządza w Winnicy wystawę rolniczo-przemysłową, która trwać będzie od dnia 13—17 września r. b. Program wystawy obejmuje następujące działy: konie; bydło rogate; trzoda chlewna i owce; drób, maszyny i narzędzia rolnicze; nasiona; owoce, warzywa i kwiaty; przemysł domowy; leśnictwo; pszczelnictwo i jedwabnictwo; górnictwo. Oprócz tego odbędzie się licytacya inwentarza, przeznaczonego do sprzedaży przez wystawców.

— W Berdyczowie otwarta będzie od d. 31 sierpnia do 14 września wystawa rolniczo-przemysłowa.

— W Krakowie zawiązuje się Towarzystwo popierania polskiej nauki rolnictwa.

Ze sztuki. W Petersburgu odbyło się posiedzenie komisyi, utworzonej przy ministeryum spraw wewnętrznych, w celu przejrzenia praw o teatrze i widowiskach publicznych. Przewodniczący postawił pytanie zasadnicze, czy teatrowi przyznać należy znaczenie państwowe, wymagające specyalnej o nim pieczy rządu, lub też—czy można porównywać go z innemi widowiskami i rozrywkami, przez co, jako przedsiębiorstwo natury prywatnej i ze względów porządku publicznego i moralności, podlega on ze strony rządu jedynie nadzorowi. W sprawie tej zażądano opinii członków komisyi, którzy orzekli jednomyślnie, że teatrowi, różniącemu się od widowisk natury tylko rozrywkowej, należy przyznać doniosłe znaczenie państwowe i bezwarunkowe prawo do szczególnej o nim pieczy rządu.

— W Pradze odsłonięto pomnik Daniela Adama z Welesławina, wybitnego uczonego czeskiego, inicyatora czeskiego piśmiennictwa narodowego w XVI w.

Katastrofy. Z Nowego-Jorku donoszą, że pod Shelly runął most wiszący, w chwili, gdy po nim przejeżdżał pociąg. Dzięki przytomności maszynisty, który przyspieszył bieg pociągu w chwili krytycznej, urwał się tylko jeden końcowy wagon i wpadł w rzekę. Zginęło 10 osób.

— Orkan zniszczył miasteczko Brzeżany w Galicyi.

— Wylew Wisły zrządził wielkie szkody w kilku powiatach galicyjskich.

Zmarli. Karol Kozłowski, architekt warszawski; zmarł w Karlsbadzie.

— Hiacynt Verdaguer, poeta hiszpański, w Barcelonie. Najwybitniejszy jest jego poemat p. t. „Atlanyda,“ napisany w dyalekcie katalońskim.

— Amadeusz Giulianetti, zamordowany przez krajowców Nowej Gwinei (angielskiej), dokąd wysłany został przez rząd włoski w celach naukowych.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu S. M., gospodarzowi Resursy w Tomaszowie. *Prawda* wychodzi dwadzieścia dwa lata, przez cały ten czas głosiła te same zasady, a nawet dawniej broniła ich energiczniej; gdzież więc i jakim sposobem „niektórzy członkowie resursy“ dochowali się w takiej prostocie ducha, że dopiero teraz dowiedzieli się o kierunku naszego pisma? Niepodobna, ażeby Tomaszów, ważne ognisko przemysłu, był Abderą. Życzeniu Pańskiemu stanie się zadość. Prenumerata opłacona tylko do 1 lipca.

Pani M. Rem. Było to najwidoczniej — przesłyszenie się. Narzuconego nam zdania nikt u nas nie wypowiadał nigdy.

Panu D. Pozn. W zasadzie— mu. Szan. Pan słuszność, chociaż większość czytelników nie znajduje pod tym względem trudności. Zwykle zresztą staramy się cytaty tłomaczyć, a nadal zwrócimy na to baczniejszą uwagę.

P. M. Dobrskiemu w Lublinie. Stosownie do życzenia Sz. Pana, zaznaczamy, że zebranie i opracowanie materyału i cała wogóle strona literacka i redakcyjna „Opisu statystycznego gub. Lubelskiej,“ wydanego nakładem komitetu b. wystawy przemysłowo-rolniczej, jest zasługą autora wymienionego dzieła p. Henryka Wiercieńskiego.

SPROSTOWANIE. W nr. poprzednim w art. „Wystawy warszawskie,“ zaszły następujące omyłki: zam. „Zamarzły staw w Tatrach,“ czytaj: „Zmarzły...“; zam. Edwarda Okonia — Tadeusza Okonia; zam. Rezlerówna — Bezlerówna; zam. Pański — Tański.

— Do numeru bieżącego dołączamy w dodatku kwartalnym ark. 7—12 dzieła dr. Fryderyka Kirchnera p. t. **Katechizm Historyi Filozofii**, w przekładzie dr. K. Krauza.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 13 Іюня 1902 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.